

Nadodrże

ZIELONA GÓRA 5 II — 18 II 1989 R.
ROK XXXIII NR 3 [686] CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



REGION I NAUKA

Heroina jest ich bogiem

CZY ISTNIEJE ZSMP?

[STRONA 6/

SCENY

miłomy

Z redakcyjnego archiwum

MY I NIEMCY

Niepublikowany wywiad z Józefem Cyrankiewiczem

W 1981 r. zamierzaliśmy opublikować na łamach „Nadodrza” cykl wywiadów z „postaciami historycznymi”, które z różnych powodów zeszyły już ze sceny życia publicznego. Udało nam się, za pośrednictwem ówczesnej przedstawicielki naszej redakcji w Warszawie, po dłuższych staraniach i namowach przeprowadzić wywiad tylko z Józefem Cyrankiewiczem. Okazał się on rozmówcą bardzo wstrzemięźliwym, wazącym każde słowo, nie skłonny do wspomnień i zwierzeń. W owym czasie nie były jeszcze modne rozmowy z byłymi prominentami, więc uzgodniliśmy, że będzie to wywiad z przewodniczącym Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju, bo taką Józef Cyrankiewicz pełnił wówczas oficjalną funkcję, stąd zwrot „panie przewodniczący”. Wywiad zamierzaliśmy opublikować w jednym z najbliższych numerów. W międzyczasie został ogłoszony stan wojenny i tekst trafił do redakcyjnego archiwum. Później chcieliśmy do tej rozmowy powrócić ale w ostatnich latach swego życia Józef Cyrankiewicz odmawiał spotkań z dziennikarzami. Jest to jeden z ostatnich, a może nawet ostatni wywiad z tym wybitnym działaczem państwowym i partyjnym. I dzisiaj ma już wartość dokumentu.

• Tytuł pochodzi od redakcji.

— Panie Przewodniczący, pański podpis widnieje pod wieloma najważniejszymi międzynarodowymi układami za wartymi przez Polskę Ludową — od odnowionego układu z Związkiem Radzieckim poczynając, na układzie o podstawach normalizacji stosunków między PRL a RFN kończąc. Jak się dźwiga ciężar historii?

— Żyję pod dużym, pod bardzo wielkim ciężarem dlatego, że mieliśmy przecież różne i trudne okresy. Nie zawsze byłem w stanie tym trudnościom sprostać. Właściwie my wszyscy, Polacy, dźwigamy ciężar historii; powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, jaka była ta historia i wyciągać wnioski, także i na teraz. Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za to, żeby ta Polska, z takim trudem odbudowana, stawała się coraz silniejsza, i żeby była cennym sojusznikiem we wspólnocie socjalistycznej a równocześnie cenionym partnerem w polityce międzynarodowej.

— Uchwały poczdamskie opowiadały się za powrotem Polaków na Ziemię Piastowską. Niektórzy jednak wątpili, czy poradzą sobie oni z zagospodarowaniem tych ziem.

— W Poczdamie Churchill powiedział, że przyłączenie całego obszaru tych ziem — zresztą prapolskich — to jest za dużo jak na możliwości Polski. Wyraził się, że „gęś polska udławi się

tymi ziemiami”, ale jak to już Rej powiedział „Polacy nie gęsi”. Umieliśmy w sposób zorganizowany zasiedlić te obszary, choć to nie było łatwe. Jest w tym wielka zasługa Władysława Gomułki, który wówczas jako sekretarz generalny PPR, był równocześnie ministrem Ziem Odzyskanych. I w głównej mierze jest to zasługa, oczywiście, społeczeństwa, które zwalczało tzw. szablę broniącą przyjeżdżających na te ziemie, by obławowawszy się zdobyczami powrócić do Polski centralnej. Zlikwidowanie tego procederu było niezwykle ważnym elementem w zasiedlaniu, bo równocześnie przybywali tam ludzie, którzy pragnęli i potrafili te ziemie za gospodarować. I to jest ten okres, właściwie najważniejszy...

— Czy miał pan wówczas jako młody polityk, osobiste kontakty z Nadodrzem?

— Pamiętam uroczystość otwarcia pierwszego dużego zakładu produkcyjnego nad Odrą. To był symbol sprawnego zagospodarowywania Ziemi Zachodnich. Spotkania z ludźmi stamtąd, oczywiście, także pamiętam. I sądzę, że wszyscy mieliśmy podobne uczucia — to były pierwsze nasze osiągnięcia na naszych ziemiach. Pani tam wtedy była?

— Nie, w ogóle mnie jeszcze nie było.

— Było dużo serdeczności, zresztą wzajemnej.

— Od początku był pan osobiście zaangażowany w wypracowanie formuły legalizacji granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Co było najtrudniejsze?

— Dać świadectwo, że Polska jest w stanie przejąć odpowiedzialność za to, żeby te tereny przynależne do niej odwiecznie, stały się organiczną częścią polityczną i gospodarczą naszego państwa.

— I musiało to zostać przypieczętowane aktem wzajemnego, sąsiedzkiego uznania?

— Zostało to przypieczętowane bardzo ważnym aktem historycznym, Układem Zgorzeleckim. Od tego czasu granica na Odrze i Nysie stała się granicą pokoju, przyjaźni z Niemiecką Republiką Demokratyczną, z pierwszym państwem niemieckim, które przez zwycięstwo pruski imperializm, słynny „Drang nach Osten”, oczywiście pokonując także wiele barier wewnętrznych.

— Interesują nas szczegóły, poza oficjalnymi formułami układów i aktów politycznych, jakie podpisują osobistość rządowe. Jaki moment w przygotowaniach do zawarcia Układu Zgorzeleckiego zapamiętał pan najbardziej?

— Zawarcie tego Układu było tak ważnym momentem historycznym, iż trudno jest tu wydobyc jakieś poszczególne epizody, elementy czy fazy.

— Na czym opierała się pewność rządu polskiego, że Układ Zgorzelecki nie będzie dokumentem papierowym?

— Na szczerości podejścia do tej sprawy z obu stron. Na tym, że NRD była i jest także częścią budującej się socjalistycznej wspólnoty. Wynikało to również ze wszystkich sojuszy, które Polska zawarła, a przede wszystkim sojuszu z Związkiem Radzieckim. Trzeba pamiętać, że Układ Zgorzelecki był konsekwencją Poczdamu, gdzie sama granica była już ustalona, dlatego Układ ten to było zatwierdzenie już „ustalonej i istniejącej granicy”. A więc nie można powiedzieć, że był to jedynie dwustronny akt polsko-niemiecki czy Polski i NRD. On miał swoje oparcie w uchwałach poczdamskich przyjętych przez zwycięską koalicję.

— Co zadecydowało, że Układ podpisano w Zgorzelcu a nie w jakimś innym mieście?

— Miejsowość była wybrana za wspólną zgodą. Odbędzie się to na terytorium polskim. Naprzeciw Zgorzelcu, po drugiej stronie Nysy, leży miasto Goerlitz, czyli Układ ten podpisaliśmy nad samą granicą, o którą toczyły się przecież walki z hitlerowskimi armiami z udziałem Wojska Polskiego.

Ciąg dalszy na str. 4

Zwycięskie Powstanie

Joachim Benyskiewicz

Przyczyny wybuchu Powstania Wielkopolskiego absorbowaly wielu historyków. Sądzono, że było ono aktem rozpaczki poznaniaków na prowokacyjne zachowanie Niemców w momencie przyjazdu Paderewskiego do miasta. Ale widziano Powstanie także jako wyrozumowanie przez lata, starannie przygotowane wystąpienie przeciw Prusakom. W dotychczasowej literaturze można doszukać się też poglądu o bezpośrednim związku wybuchu Powstania z rewolucją w Niemczech. W każdym z przytaczanych poglądów tkwi trochę prawdy.

Spółeczeństwo wielkopolskie przynajmniej od Wiosny Ludów stroniło od płochych, nieprzygotowanych wystąpień powstańczych. U źródeł tego leżała świadomość wynikła z konsekwencji znacznego zaangażowania się Wielkopolan w listopadowy czyn zbrojny. Uświadomiano sobie coraz powszechniej, że sama determinacja nie stanowi wy starczającego atutu w walce o byt polityczny.

Według profesora Władysława Markiewiczza niechęć Polaków wobec zabójcy kierowała się nie tyle przeciw wszystkiemu co niemieckie, ile przeciwko pruskiemu aparatowi ucisku. „Typowy Wielkopolek odczuwał wobec Niemców nienawiść w przedziwny sposób zmieszana z podziwem, ową Hassliebe, która pozwalała dostrzegać w przeciwniku wszystkie jego złe i dobre, silne i słabe, budzące grozę i śmiech właściwości”.

W konkluzji profesor Markiewicz uważa, że cechy psychofizyczne Wielkopolan określały w sposób przemowny ich postawy w czasie Powstania Wielkopolskiego.

Niewątpliwym wpływ na kształtowanie się celów patriotycznych miały hasła narodowej demokracji popularyzowane szeroko również w Wielkopolsce. Zalew literatury polskiej, polskiej, symboli, odznak, pamiątek narodowych rodom z Małopolski i Wielkopolski Wielkopolanom cele ich działania.

I wojna światowa spotęgowała istniejące w polskim społeczeństwie tendencje niepodległościowe. Polacy uwierzyli, że modły Mickiewicza „o powszechną wojnę ludów” przyniesie muśszą z dawną oczekiwana niepodległość. Udział tysięcy Wielkopolan w wojnie wywarł na nich wpływ, którego nie sposób nie docenić. Atmosfera niesprawiedliwej wojny potęgowała jeszcze przeświadczenie, że ich uczestnictwo w niej nie ma żadnego sensu, rozdziło wewnętrzne przekonanie o orężnym sposobie podjęcia walki. Stąd też przynajmniej w początkowym okresie Powstania byli żołnierze armii cesarskiej należeli do podstawowego trzonu wojsk powstańczych.

Po zwycięskim prologu w Poznaniu i opanowaniu miasta, Powstanie objęło całą Wielkopolskę. Charakterystyczne, że część regionu opanowana została praktycznie bez udziału wojska, siłami tworzonych w poszczególnych miejscowościach drużyn powstańczych. W pierwszej fazie Powstania spontanicznej, pełnej rozterek (bo idee powstańcze pozostawały w sprzeczności z poglądami głoszonymi przez kierowniczo polityczne sprawowane przez endecję, klasyczny dyktando polskich polityków z początków odradzania się Polski: tworzyć fakty dokonane, czy czekać na decyzję zwycięskich mocarstw) trwającej do 8 stycznia 1919 roku, nie zdołano w sposób jednolity czy zakreślić zasięgu działań powstańczych. Istniało jednak przekonanie, że ruch objąć musi również zachodnie rubieże Wielkopolski.

W raporcie Dowództwa Głównego do Dowództwa Naczelnego WP w Warszawie z dnia 6 stycznia 1919 roku nakreślono minimum polskich dążeń insurekcyjnych. Na zachodzie miała to być linia jezior i kanałów obrzańskich. Można przyjąć, że ograniczenie działań powstańczych do wspomnianej linii wynikało wyłącznie ze względów taktycznych.

W niemieckich planach zachodnia część Wielkopolski stanowiła natomiast podstawę do odzyskania przede wszystkim Poznania. Przypuszczalnie kierunek uderzenia miał przebiegać wzdłuż osi Sulechów — Zbąszyn — Wolsztyn — Grodzisk Wlkp. — Poznań. Koncentracja oddziałów niemieckich w Sulechowie, następnie obsadzenie oddziałami Heimatschutzu Wolsztyna, stosunkowo silne ugrupowanie w Zbąszyniu dowodzą słuszności tego rozumowania. Odcinek miał zatem odegrać znaczącą rolę w przyszłej ofensywie niemieckiej mającej na celu likwidację Powstania.

Ciąg dalszy na str. 8

0 wsparcie mas

Komitet Wojewódzki PZPR w Zielonej Górze został wybrany w październiku 1988 roku. XIX konferencja sprawozdawczo-wyborcza podjęła wtedy uchwałę, pochodną ustaleń X Zjazdu. W styczniu 1989 roku, uczestnicy tej konferencji, zgodnie z wymogami „Statutu”, zebrał się po raz drugi, aby dokonać oceny stopnia realizacji postanowień przyjętych przed dwoma laty, oraz po to, aby podjąć niezbędne decyzje wynikające z obecnych realiów przede wszystkim gospodarczych ale i politycznych w jakich żyje społeczeństwo województwa zielonogórskiego.

Sytuacja gospodarcza, zdaniem obywateli borykających się z codziennymi kłopotami bytowymi o charakterze elementarnym, jest po prostu zła. Tendencje pozytywne w gospodarce — wzrost produkcji, poprawa jej jakości, zwiększenie wydajności pracy, poprawa zaopatrzenia rynku w żywność i produkty przemysłowe, są przez społeczeństwo nie odczuwalne. Brak jest symptomów poprawy sytuacji gospodarczej. Dalsze obniżenie stopy życiowej, brak nadziei na poprawę, apatia i frustracja grożą potencjalnie wybuchem wielkich konfliktów.

Deklaracja intencji politycznych ostatnio odbytego plenarnego posiedzenia Komitetu Centralnego PZPR, ma charakter przełomowy i rewolucyjny w dotychczasowej praktyce budownictwa socjalistycznego i to nie tylko w Polsce. Tak zwana konstruktywna opozycja, stojąca — jest to warunek jedyny — na gruncie poszanowania porządku prawnego PRL, ma szansę legalizacji swojej działalności. X plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego PZPR, bez taktycznych uników, bez przymusu, jednoznacznie, deklaruje wolę urealnienia demokracji, w tym swobodę zrzeszania obywateli. W praktyce oznacza to, ostateczne rozstanie ze stalinowskim modelem podmiotowego widzenia jednostek i grup społecznych. Ludzie, społeczeństwo przestają być rybkami w „akwarium” uprawianym przez grono posiadających monopol na rację hodowców.

Przed członkami Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej stoją dziś pytania, na które odpowiedzieć może nie tyle teoria i dzieła klasyków, ile praktyka, sprawdzenie przez życie. Jeśli epopeja zechce poszerzyć swoje wpływy demagogii, postulowaniem żądań, które nie sposób zaspokoić, czyli powtórką lekcji przerabianej w 1981 roku, dowiedzieć, że jest złym uczniem historii. Nie wpłynie dodatnio na bieg naszych, polskich spraw. Są również inne wątpliwości. Dość powszechne staje się pytanie, czym w sytuacji wolności gospodarczej, burzliwego rozwoju sektora prywatnego, staje się socjalizm, co z tradycyjnej jego formuły należy ocalić? Odpowiedź, że walory humanistyczne, nie jest dostatecznie wyczerpującą odpowiedzią. Wreszcie, są wątpliwości, czy w nowej sytuacji, wywołanej przez samą partię, jest ona przygotowana do toczenia walki politycznej, czy umie bronić swoich racji argumentami, potrafi iść na kompromis, jakie są granice tego ostatniego? Nie ostatnie jest pytanie o kierowniczą rolę partii w społeczeństwie w warunkach demokratycznej gry wyborczej? Nad tymi wątpliwościami, dziś całkiem praktycznymi, ciąży imperatyw: społeczeństwu kierującym się demokratycznymi regułami gry, żyje się lepiej od społeczeństw kierujących się demokracją ograniczoną, w systemach monopartyjnych.

Dziś kondycja samej partii, to co dzieje się w niej samej, ma dla społeczeństwa znacznie większe, aniżeli w sytuacjach lepszych, przedkrytyczne.

Na konferencji sprawozdawczej podano następujące liczby: w województwie zielonogórskim jest ponad 30 tysięcy członków PZPR. Od szeregu lat jest to wielkość stabilizowana, podlegająca tylko niewielkim wahaniom. Wśród członków PZPR 41,7 proc. stanowią robotnicy, 6,3 proc. chłopcy, 50,7 proc. pracownicy umysłowi. Od XIX konferencji sprawozdawczo-wyborczej w szeregu partii przyjęto 1300 robotników, 1000 pracowników umysłowych, 97 chłopów. Do partii wstępuje mało młodzieży. Średnia wieku członków PZPR podnosi się stale. Oto gdzie partia jest zlokalizowana. 27,7 proc. zatrudnionych w przemyśle należy do PZPR, 4,6 proc. w budownictwie, 24,6 proc. w rolnictwie i leśnictwie, 8,6 proc. w handlu i usługach, 7,3 proc. w oświacie, 0,7 proc. w kulturze, 1,6 proc. pracuje w ochronie zdrowia, 5,9 proc. w administracji. Dodajmy jeszcze, że na 1000 gospodarstw rolnych przypada 14 członków i kandydatów PZPR.

O autorytecie partii w społeczeństwie w pewien sposób świadczyć może liczba osób zwracających się do jej instancji z różnymi osobistymi problemami, dotyczącymi jednak różnych instytucji działających na terenie województwa. Do Komitetu Wojewódzkiego napisano prawie 1200 listów, 2000 razy zwrócono się o interwencję ustnie. Jedna trzecia wszystkich skarg była uzasadniona. Najwięcej skarg dotyczyło złego funkcjonowania gospodarki komunalnej, jakości prac remontowych, działalności ADM. W drugiej kolejności skargi dotyczyły spraw wiejskich, trzeciej — stosunków wewnętrznych w zakładach pracy.

Partia jest taka, jakie jej podstawowe ogniwa, jest prawdą oczywiście w szeregach PZPR. Od X Zjazdu uczyniono wiele dla demokratyzowania stylu pracy podstawowych organizacji partyjnych, komitetów zakładowych i gminnych, wyższych instancji. W ciągu dwu lat egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego zajmowała się sprawami wewnątrzpartyjnymi 27 razy. Dokonano dużego wysiłku celem umocnienia podstawowych organizacji partyjnych. Czy przyniosł on oczekiwane wyniki? Jak się wydaje, większość podstawowych organizacji kontynuując tradycyjne schematy pracy, niosąc na swoich barkach bagaż tradycji, co nie zawsze jest dobrą odpowiedzią na wyzwania współczesności, nie była w stanie, wybić się na wiodącą, kierowniczą rolę w środowisku, w którym przyszło działać. Działalność podstawowych organizacji partyjnych jeszcze nie posiadała umiejętności samodzielnego analizowania sytuacji we własnym środowisku, którym przecież jest zakład pracy. W ocenach sytuacji gospodarczej posługuje się rozpoznaniem dokonany przez kierownictwo administracyjne, stając się ich narzędziem. Analizy sytuacji politycznej we własnym środowisku organizacje podstawowe dokonują niesłyszalnie rzadko.

Jeśli przyjąć, że większość uchwał i decyzji podstawowych organizacji partyjnych pozostaje na papierze, w lepszych przypadkach — wykonuje się je niekonsekwentnie, to wniosek staje się oczywisty — siła partii nie jest dziś na miarę zadań w przekształcaniu rzeczywistości.

Skostniałe formy pracy, trudność znalezienia wspólnego języka z bezpartyjnymi, pozyskanie ich poparcia, kłopoty z egzekwowaniem wynikającej ze „Statutu” koniecznej dyscypliny wewnątrzpartyjnej, są pochodną działania podstawowej organizacji partyjnej, komitetów gminnych i miejskich.

Z inicjatywy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, decyzji podjętych przez X Zjazd, zainicjowane zostały wielkie zmiany strukturalne w gospodarce kraju. Dziś wiadomo, że autentyczna reforma gospodarcza, nie przyniesie spodziewanych rezultatów, bez dogłębnego, sięgającego sedna, reformowania mechanizmu politycznego. W zmieniającym się prawie z dnia na dzień wizerunku kraju, tylko jedno nie uległo zmianie, wizerunek inicjatora reform i zmian Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Było to stwierdzenie słuszne, aż do momentu, gdy dziesiąte, plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego, otworzyło historyczny proces demokratyzacji, ze stworzeniem warunków legalnego działania organizacji o charakterze konstruktywnej opozycji.

Szeroki zakres demokracji wymaga od samej partii gruntownego zmiany stylu pracy. Musi on być na tyle atrakcyjny i zrozumiały, aby mógł przyciągnąć poparcie ludzi pracy. Nawet język, jakim wypowiadają się partyjni politycy, musi zostać zmieniony. W samej partii zmienić się musi rola nieetatowego działacza partyjnego, który przestanie być instrumentem dowolnego użytkowania, stanie się zaś współtwórcą jej polityki. Nowa ordynacja wyborcza, już najbliższe wybory do Sejmu, stworzą sytuację polityczną, w której wygrać może kandydat, który posiada nie tylko interesujący program, ale i umiejętność nawiązywania kontaktów ze społeczeństwem. Również to, co robią dziś członkowie partii w radach narodowych, organizacjach społecznych, samorządach robotniczych, ma zasadnicze znaczenie dla wizerunku Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w oczach społeczeństwa.

Niezrealizowanym programami PZPR, uchwałami które pozostały na papierze, niespełnionymi obietnicami, żywiła się i żywi opozycja. Dziś o poparcie mas dla partii trzeba walczyć. Im ta walka będzie skuteczniejsza, tym dla nas wszystkich będzie lepiej.

RYSZARD ROWIŃSKI

Ferie zimowe

Po paru miesiącach wyjątkowej pracy są potrzebne młodym. Uczniowie z zielonogórskiego i gorzowskiego wyjeżdżają w tym roku na wypoczynek m.in. do Karpacza, Szklarskiej Poręby, Miedzyrzecza, Piechowic, Łagowa i Jarocina. Zimowiska zorganizowano podobnie jak w ubiegłym roku, także w NRD. Z obu na szczyt województwa jadą tam na kilkunastodniowe obozy dzieci z domów dziecka, harcerze oraz dzieci nauczycieli. W zamian za to gościć będziemy na Ziemi Lubuskiej uczniów z NRD. Organizatorem tegorocznych ferii zimowych są m.in. kuratoria oświaty i wychowania, Zielonogórskie przygoto- wało 4 tys. miejsc na zimowiskach. Jedną z form wypoczynku są obozy językowe z nauczaniem angielskiego, francuskiego, niemieckiego i rosyjskiego. Gorzowskie Kuratorium zapewniło 2,5 tys. miejsc na zimowiskach wyjazdowych. Przygotowują je także harcerze. Wyjadą oni na obozy wypoczynkowe, szkoleniowe, narciarskie, fotograficzne itp. W sumie z obu województw na zimowiska wyjedzie ponad 1500 harcerzy. Towarzystwo Przyjaciół Dzieci postarało się o wypocznik dla części swoich podopiecznych. 30 dzieci spędzi ferie w Karpaczu a 40 w Szklarskiej Porębie. W zimowej akcji wypoczynkowej biorą udział również organizacje młodzieżowe: ZSMP, ZSP, ZMW i Szkolny Związek Sportowy.

Brak nauczycieli

Jednym z największych problemów, z jakimi boryka się lubuska oświata, jest narastający deficyt nauczycieli. W woj. gorzowskim od 1984 r. do końca 1987 r. na emeryturę odeszło 911 pedagogów, w tym 397 na wsi. Wzrasta także ciążąca liczba nauczycieli rezygnujących z zawodu i przechodzących do lepiej płatnych zajęć w innych działach gospodarki narodowej. W okresie obowiązywania znowelizowanej Karty Nauczyciela (tj. od 1982 r.) z możliwości tej skorzystało blisko 600 osób. Stale maleje też procent pedagogów z wyższym wykształceniem. O ile w roku szkolnym 1984 — 85 dyplom magisterski posiadało 58,3 proc. zatrudnionych w Gorzowskim nauczycieli, to obecnie legitymuje się nimi 56,1 proc. kadry. W szkołach wiejskich wskaźnik ten wygląda jeszcze gorzej i wynosi 46,7 proc. M.in. z wymienionych powodów na początku bieżącego roku szkolnego gorzowskiej oświacie brakowało 384 nauczycieli. Najbardziej dokuczliwy jest niedostatek polonistów (72 wakaty), specjali- stów wychowania przedszkolnego (59), nauczania początkowego (42) i wychowania technicznego (40). Sytuację starano się poprawić poprzez zgłaszanie ofert pracy pełnomocni- kom d/s zatrudnienia absolwentów przy uczelniach pedagogicznych, ale w ten sposób udało się w br. pozyskać za- ledwie 62 nauczycieli z wyższym wykształceniem, 27 spec- jalistów nauczania początko- wego oraz 32 absolwentów wy- chowania przedszkolnego po Studium Nauczycielskim. Szukając skutecznego sposobu na kadrowe kłopoty, gorzowskie władze oświatowe zamieniły

część etatów na godziny ponadwymiarowe i przydzielili je pracującym nauczycielom oraz zatrudnili w niepełnym wymiarze czasu emerytów. Ci ostatni wykonują obecnie pracę równoważną 818 nauczycieli skim etatom.

Reforma poczty

Która to już z rzędu i czy z jej powodu będzie lepiej? Reformatorzy zapewniali, że tak, no bo niby dlaczego telefony mają być osobno a listy i paczki osobno? Tymczasem zamiast 108 jednostek dyrekcyjnych w kraju, powstało 49 dyrekcyj wojewódzkich instytucji. Polska Poczta Telegraf i Telefon. W Gorzowie pełnomocnikiem dyrektora generalnego do czasu mianowania nowego dyrektora wojewódzkiego Polskiej Poczty Telegrafu i Telefonu został Stanisław Adamus, dotychczasowy dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji, a w Zielonej Górze Marian Flaum, dotych- czasowy dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Poczty. Nowe jednostki dyrekcyjne w Gorzo- wie i Zielonej Górze przejęły wszystkie kompetencje zlikwidowanych jednostek organiza- cyjnych w tym także część kompetencji dyrekcyjnej okręgu w Poznaniu. W połowie lute- go mianowani zostaną nowi dyrektory wojewódzkich jedno- stek organizacyjnych PPTiT.

Likwidacja WDK

Decyzją Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego, Woje- wódzki Dom Kultury w Zie- lonej Górze, którego działal- ność już od dłuższego czasu poddawana była krytycznej ocenie, uległ likwidacji. Na je- go miejsce powstaje Wojewódzki Ośrodek Metodyki Kultu- ry, którego zadaniem będzie wyłącznie metodyczna opieka nad terenowymi placówkami kultury. Status WOMK zakła- da nie tylko rezygnację z ta- kiej działalności jak np. orga- nizacja koncertów lub przed- stawień teatralnych, ale rów- nież poważne ograniczenia sta- nowie. Zatrudniać on będzie tylko 12 osób (w WDK pra- cowało ok. 50). Część pomieszczeń byłego WDK przekazano Wydziałowi Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Zie- lonej Górze. Na pozytywne (?) rezultaty tych decyzji trzeba będzie nieco poczekać, bo wia- domo, że samymi tylko zmia- nami organizacyjnymi nie uda się ożywić wiatły materii kul- tury wojewódzkiej.

Stowarzyszenie Animatorów Kultury

Czy może być sposobem na reanimację życia kulturalne- go? Przez niedawno powsta- łego Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia a zarazem dy- rektor DK „Mrowisko” w Zie- lonej Górze, Zdzisław Tch- rzewski, twierdzi, że tak. Li- czy przede wszystkim na lu- dzi aktywne i nieprzecięt- nych, chcących urzeczywist- niać cele SAK, które zamie- rza być opiniotwórcze, inspi- rujące i integrujące, zarazem dbające o społeczną pozycję pracowników i animatorów

kultury. Jego narodzinom to- warzyszyły życzliwość i wąt- pliwość. To oczywiście. Bo sprawdzić się trzeba w dzia- łaniu.

Drzonków sprzedany?

To tylko dowcip, jaki towa- rzyszył niedawnej uroczystości przekazania znanego i lubia- nego nie tylko przez zielono- górzan Ośrodka Pielgrimo- wiczności i Jezdźstwa w podzielnogórskim Drzonko- wie do dyspozycji Centralnego Ośrodka Sportu. Jak podkre- ślił w czasie uroczystości wo- jewoda zielonogórski Zbyszko Piwoński, nie tracimy Drzon- kowa, zmienia się tylko jego sytuacja prawna i miejsce w strukturze polskiego sportu. W zamian za to Komitet Młod- zieży i Kultury Fizycznej be- dzie m.in. współfinansować budowę hali sportowej — wi- dowiskowej w Zielonej Górze — to słowa wiceprezidentki tego Komitetu, Zbignie- wa Glapy. Ośrodek w Drzon- kowie spełniać ma nadal wszy- stkie swe dotychczasowe funk- cje, z których będą mogli ko- rzystać także mieszkańcy Zielonej Góry.

Plebiscyt sportowy

Na tradycyjnym już Balu Sportowców w zielonogórskiej Hali Ludowej ogłoszono wyni- ki XXVI plebiscytu czytelników „Gazety Lubuskiej” na 10 najpopularniejszych sportow- ców województwa zielonogór- skiego w 1988 r. Laureatem i miejsca w tym plebiscycie zo- stał doskonale kajakarz nowo- sołskiego Dozimetu Grzegorz Krawców, na którego oddano aż 8562 głosy. Na kolejnych miejscach uplasowali się: 2. Anna Sulima (Lumel Zielona Góra, pięciobój); 3. Zbigniew Spruch (Trasa Zielona Góra, kolarstwo); 4. Katarzyna Weis (Iskra Wołstyn, kajakarst-

Zagrożenie ekologiczne

Czy województwo zielonogórskie jest silnie zagrożone eko- logicznie? Na tak postawione przez „GL” pytanie, dyrektor Wo- jewódzkiego Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska w Zielonej Górze — Jerzy Mendeluk wyraził wątpliwość, choć przyznał, że największe zanieczyszczenia środowiska naturalnego pocha- dzą od naszych zachodnich sąsiadów. Wielki przemysł, kopal- nie węgla brunatnego, elektrownie, huty, ciepłownie w NRD skoncentrowane są w okolicy Cottbus, w pobliżu naszej gra- nicy. Emitowany przez nie dwutlenek siarki przenoszony jest przez wiatry najczęściej w tej okolicy wiatry zachodnie na nasz teren. Co prawda w przemyśle tym zainstalowane są urzą- dzenia filtrujące, ale tylko... pyły. Nasi zachodni sąsiedzi chwa- lili się niedawno, że wydali 50 mln marek na kompletną in- stalację oczyszczającą tylko w jednej ciepłowni. Pozostałe na- dal trują. Wiele szkód wyrządza nam także przemysł sąsie- dnich województw — jeleniogórskiego i legnickiego. W rezul- tacie najbardziej zanieczyszczone są rzeki — Odra, Nysa Lu- życka i Bóbr. Ta pierwsza wpływając do województwa zielo- nogórskiego jest brudniejsza niż wypływa z niego. W takiej sytuacji cieszyć się musimy niedawno podpisanym porozumie- niem między PRL i NRD w sprawie współpracy w dziedzinie gospodarki wodnej i zapobiegania i zwalczania zanieczyszczeń wód gra- nicznych. Porozumienie określa m.in. zasady odszkodowań w wy- padku katastrof ekologicznych na Odrze i Nysie Łużyckiej, za- sady kierowania akcjami ratowniczymi. Ważny jest paragraf czwarty tego porozumienia: „Koszty zwalczania i likwidacji nadzwyczajnych zanieczyszczeń wód granicznych oraz koszty wynikające z udzielenia uzgodnionej pomocy ponoszone są przez tę stronę, która spowodowała zanieczyszczenie”. Po raz pierwszy w stosunkach między krajami RWPG przekroczone- tabu. Określono, kto ma płacić za spowodowanie katastrofy ekologicznej. Do tej pory, jeśli nawet znani byli winni, płacić nie miał kto.

dyrektora Wojewódzkiego Do- mu Kultury w Gorzowie Wlkp. Członek PZPR, dzia- łacz PRON-u.

Hobby: literatura, polityka, historia.

ELIGIUSZ GRABOWSKI, lat 44 (żona Radosława, pocho- dzi ze znanej i zasłużonej ro- dziny Pieniężnych, studiowała filozofię i pedagogikę na Uni- wersytecie we Wrocławiu, pra- cuje w Biurze Projektów Wod- nych Melioracji, syn Krzysztof Zbigniew, uczeń LO nr 7, szer- mierz, kot Albin, kupiony za paczkę landrynek) — absol- went WSP w Zielonej Górze, historyk, b. nauczyciel, pra- cownik b. Prezydium WRN, skąd został oddelegowany do pracy w Komitecie Wojewód- kim SD, b. wizytator w ZDZ, b. pracownik Delegatury NIK. Pracując w NIK-u pełnił przez dziewięć miesięcy funkcję se- kretarza WK SD. Z dn. 1 sty- cznia 1989 r. objął stanowisko

cznia br. objął stanowisko wi- ce — dyrektora Muzeum Zie- mi Lubuskiej w Zielonej Gó- rze.

Hobby: podróże, kibicowa- nie.

BRONISŁAW SUZANO- WICZ, lat 65, wdowiec, bez- dietny, absolwent UAM, po- lonista, w czasie studiów ko- respondował z Julianem Tu- wimem, od 1957 r. w Zielonej Górze, b. pracownik Wydziału Kultury PWRN oraz Delegatu- ry NIK, obecnie na emerytur- ze. Debiutował trzydzieści lat temu zbiorem wierszy „Spo- wiedź liryczna”, wydał wiers- ze dla dzieci „Nad rzeką Bo- brem”, przez dziesięć lat pra- cował nad przekładem „Euge- niusza Oniegiina”, którego za- mierzają wydać TPiP. Niedaw- no został odznaczony Medalem Rodła.

Hobby: poezja, dawniej tak- że zbieranie grzybów i łowie- nie ryb.

wo) 5. Mariusz Kaczmarek (Za- stał Zielona Góra, koszykow- ka) 6. Andrzej Huszcza (Falu- baz Zielona Góra, żużel) 7. Do- rota Bidołach (Gwardia Zie- lona Góra, strzelectwo) 8. Ma- rek Tarka. (Włóknarz Zary, zapasy) 9. Aleksandra Stry- chalska (Novita — 10 Zielona Góra, pływanie) 10. Eliaz Ma- dej (Zielonogórski Klub Kara- te).

Gratulujemy!

Zaprosili nas

Dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu na ot- warcie wystawy kartograficz- nej pt. „Z nurtem Odry”; Do- nośląskie Towarzystwo Społecz- no-Kulturalne we Wrocławiu na konferencję prasową związaną z planem obchodów 1000-lecia przyłączenia Śląska do Państwa Polskiego; dyrek- cja i zespół teatru im. Cyp- riana Norwida w Jeleniej Górze na premiery spektakli w sezonie 1988/89; Biuro Wy- staw Artystycznych w Zie- lonej Górze na otwarcie wystawy pt. „Świat lalek”; dyrekcja i zespół teatru im. Juliusza Oster- wy w Gorzowie na premie- rę sztuki „Woyzeck” G. Büch- nera; Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry i Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zie- lonej Górze na otwarcie wy- stawy rysunku satyrycznego Zbigniewa Jukli; prezydent miasta Zielonej Góry na kon- cert dedykowany mieszkańcom miasta pt. „Pieśń ojczysta” w wykonaniu Centralnego Zespo- łu Artystycznego Wojska Pol- skiego, dyrektor Muzeum Ok- regowego i dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki w Gorzowie na uroczystość otwarcia Mu- zeum w zabytkowym spichle- rzu warciańskim, w którym pomieszczone są wystawy szt- ki współczesnej oraz wystawa historyczna pt. „Warta — świa- dek dziejów”; Zarząd Woje- wódzki ZSMP w Zielonej Gó- rze na V Wojewódzką Konfe- rencję Sprawozdawczo-Wybor- czą ZSMP. Dziękujemy.

LUBUSKIE PERSONALIA

ANDRZEJ DĄSKI, lat 49 (żona Barbara, z zawodu i pa- sji instruktorka tańca, była „Mazowszanka”, czworo dzie- ci: Anna, studentka AM w Poz- naniu, Krzysztof, student Pol- techniki w Szczecinie, Katar- zyna i Dorota — uczennice, pies wielorasy „Bari”) — absol- went Państwowego Kursu Nauczycielskiego w Szczeci- nie, nauczyciel przedmiotów humanistycznych, po paru la- tach pracy w szkółnictwie m. in. b. kierownik Powiatowego Domu Kultury w Choszczynie, Zakładowego Domu Kultury w Tuczynie, b. dyrektor Strze- lecko-Krajeńskiego Domu Kul- tury w Strzelcach K. w l. 78-88 dyrektor Miejskiego Międzyzakładowego Domu Kul- tury w Kostrzynie. Z dn. 1 sty- cznia 1989 r. objął stanowisko

Hobby: teatr (w czasie stu- diów był aktorem i reżyserem studenckich teatryków ekspe- rymentalnych), dobra książka i praca zawodowa.

Lubuskie Towarzystwo Naukowe w Zielonej Górze obchodziło swoje ćwierćwiecze. W związku z tym przeprowadziliśmy rozmowę, w której udział wzięli: prof. dr hab. MICHAŁ KISIELEWICZ — prezes LTN, prof. dr hab. HIERONIM SZCZEGÓŁA — wiceprezes LTN, doc. dr hab. inż. KAZIMIERZ BĄCAL — wiceprezes LTN, prof. dr hab. KAZIMIERZ BARTKIEWICZ — sekretarz naukowy I Wydziału Nauk Społecznych LTN, dr ANDRZEJ TOCZEWSKI — sekretarz generalny LTN. Przebieg rozmowy zanotował i przygotował do druku WIESŁAW NODZYŃSKI.

— Wiesław Nodzyński: Witam panów w imieniu redakcji „Nadodrze” nie tylko jako członków władz Lubuskiego Towarzystwa Naukowego, które aktualnie obchodzi swoje ćwierćwiecze, ale także jako współautorów naszego pisma oraz tych, o których często pisaliśmy w związku z historią Towarzystwa. Bo jak wszyscy pamiętamy, „Nadodrze” towarzyszyło tej historii od samego początku. W związku z powstaniem 22 lutego 1964 r. LTN, komentując ten fakt, pisaliśmy, cytując m.in. słowa niedawno zmarłego ówczesnego I sekretarza KW PZPR w Zielonej Górze, posła na sejm PRL Tadeusza Wierczorka: „Niejednokrotnie byliśmy świadkami narodzin na Ziemi Lubuskiej cennych inicjatyw, których realizacja wniosła wiele nowych wartości społecznych, a obecne zebranie założycielskie LTN jest świadectwem jednej z nich, świadectwem dużej żywotności naszej młodej i ambitnej inteligencji, która wzięła swe losy z naszą ziemią i pragnie jej najlepiej służyć... wiażemy z powstaniem Lubuskiego Towarzystwa Naukowego duże nadzieje, gdyż umożliwi ono koordynację badań, rozszerzenia ich zakresu przy uwzględnieniu i wysunięciu na czoło najbardziej istotnych problemów teraźniejszości i przyszłości Ziemi Lubuskiej, stworzy warunki dla wykształcenia i wychowania lubuskiej kadry naukowej”.



Prof. dr hab. M. Kisielewicz

Prof. dr hab. Michał Kisielewicz: — Szczegółowe przypomnienie tej historii rzeczywiście nie miałoby sensu, warto jednak zwrócić uwagę, że intencje zawarte w historycznym już dzisiaj wystąpieniu sekretarza Wierczorka spełniły się całkowicie. W 1964 roku w momencie powstania Towarzystwa, było wśród jego członków — założycieli 10 profesorów, ale z różnych ośrodków naukowych, był tylko jeden „lubuski” — pracownik naukowy ze stopniem doktora nauk rolniczych — Edmund Stuczyński z Gorzowa. Większość stanowił ludź, którzy o prowadzeniu badań naukowych dopiero myśleli. Dzisiaj w LTN mamy profesorów, doktorów wykształconych już tu na miejscu, nie bez pomocy Towarzystwa. Dlatego istotne jest pytanie o przyszłość, o główne kierunki jego działalności, w sytuacji, kiedy obie wyższe uczelnie w Zielonej Górze są już ugruntowane a pracująca w nich kadra naukowa ustabilizowana. Na to pytanie poszukujemy od powiedzi już od ostatniego Zjazdu LTN, podnoszone jest ono w środowisku naukowym a także poza nim. Nie-

którzy pytają wręcz z ironią, czy Towarzystwo w ogóle jest potrzebne?

W. Nodzyński: — Były takie głosy, a nawet publikacje. Kiedyś domagano się nawet likwidacji uczelni.

Prof. Kisielewicz: — Miały one jednak na ogół charakter bardzo subiektywny. Przed 4 laty, na ostatnim Zjeździe LTN tak formułowaliśmy zadania Towarzystwa: wspierać te kierunki badań, które w uczelniach są prowadzone, a nade wszystko koncentrować się na tych, które nie znajdują w nich swego odbicia, bo na przykład nie wynikają one z kierunków kształcenia lub też z innych powodów nie są tam organizowane. Mam na myśli deficytowe kierunki badań, które dla potrzeb regionu, czy choćby dla satysfakcji miłośników nauki winny być w centrum uwagi Towarzystwa. Inne z nich ważnych zadań, to kształtowanie etycznego charakteru zielonogórskiego środowiska naukowego. Wiadomo, że różnie z tym bywało. Zdarzało się, że Towarzystwo

W ćwierćwiecze LTN

było wykorzystywane dla łatwej kariery i nobilitacji...

W. Nodzyński: — Była moda na doktorów...

Prof. Kisielewicz: — ...i w dziele tworzenia prawidłowego etosu pracownika nauki ma ważną rolę do spełnienia. Kolejne zadanie formułowane na Zjeździe — to potrzeba organizowania szczegółowych badań nad przeszłością regionu, bo nie zawsze znajduje to swoje miejsce w planach badawczych uczelni.

W. Nodzyński: — Potrzeby w tej dziedzinie są wyraźnie artykułowane, dotyczy to chociażby monografii miast, większych zakładów pracy itp. To z punktu widzenia konieczności umacniania poczucia społecznej tożsamości wydaje się bardzo istotne.

Prof. Kisielewicz: — I wreszcie trzeba orientować Towarzystwo na częściową chociażby samowystarczalność, ono nie może żyć tylko z dotacji.

W. Nodzyński: — Jedno jest pewne: społeczne Towarzystwo Naukowe nie powinno być biedne. To już nie te czasy, kiedy uprawiano się naukę w „czynie społecznym”



Prof. dr hab. K. Bartkiewicz

Prof. dr hab. Kazimierz Bartkiewicz: — Jeśli idzie o perspektywę Towarzystwa, opowiadam się za kontynu-

acją, oczywiście nie bez niezbędnych modyfikacji. W gruncie rzeczy chodzi o te same funkcje, spośród których wiódca jest ta, która wiąże nas z regionem, z obecnymi tutaj instytucjami i ludźmi nauki. Dalej — funkcja promowania ludzi przystosowanych do uprawiania nauki.

W. Nodzyński: — Wydaje się to bardzo ważne, szczególnie w odniesieniu do ludzi młodych, których start naukowy odbywa się na ogół w trudnych warunkach.

Prof. Bartkiewicz: — Zgadza się z prof. Kisielewiczem, że atrakcyjnym obszarem zainteresowań Towarzystwa są te rejon wiedzy i prac badawczych, które nie są dotychczas podejmowane szerzej w naszych uczelniach, jak np.: socjologia, psychologia, czy niektóre, wybrane kierunki nauk technicznych. Myślę też, że należy dokonać weryfikacji komisji problemowych LTN, pod kątem przystosowania ich pracy do aktualnych i przyszłościowych potrzeb. Nie ma jednak mowy o nauce, jeśli rezultaty badań, wnioski z nich wynikające nie mogą być upowszechnione. W tej dziedzinie nasze możliwości są większe niż skromne: „Rocznik Lubuski” ukazuje się raz na dwa lub trzy lata,

REGION I NAUKA

gorzej jeszcze jest z „Przeglądem Lubuskim”. To wszystko wiąże się z koniecznością posiadania przez nas odpowiednich środków finansowych, których stałe brakuje. Musimy pozyskiwać dla naszej działalności mecenasów, sponsorów, oczywiście nie za cenę rezygnacji z naszych naukowych priorytetów.



Prof. dr hab. H. Szczegóło

Prof. dr hab. Hieronim Szczegóło: — Musimy pamiętać, że jesteśmy regionalnym Towarzystwem Naukowym i to wyznacza nasze miejsce w strukturze nauki polskiej w ogóle i wśród innych towarzystw tego typu, których w Polsce jest bodaj 28. To również wskazuje na źródła finansowania Towarzystwa, co w aktualnej sytuacji kraju ma szczególne znaczenie. Regionalny charakter LTN wyznacza także zakres jego działalności tym bardziej, że badania regionalne stanowią tylko margines zainteresowań uczelni, wynikający raczej z osobistego zaangażowania niektórych nauczycieli akademickich. Nikt jednakże nie robi kariery naukowej tylko w oparciu o te badania, nie zdobędzie stopnia naukowego doktora czy profesora, gdyż te uzyskać można tylko na podstawie badań o tematyce podstawowej, ogólnopolskiej czy nawet światowej. W związku z tym trzeba tworzyć bodźce do podejmowania ważnych jednak nie tylko z naszego punktu widzenia badań regionalnych, czego uzasadnienie szerzej chyba nie muszę. Kto ma tworzyć te

bodźce — na to pytanie musimy szukać odpowiedzi. Trzeba też przy okazji rozważyć iluzję, że LTN może być twarzą twarzą samofinansującym się. To nie jest jednak sfera produkcji rynkowej. Na całym świecie nauka, oświata i kultura kosztuje i na to pieniądze muszą się znaleźć. Powinni to zrozumieć również ci, którzy chcieliby na wszystkim doraźnie zarabiać, bo przecież uprawianie nauki, bez czego nie można sobie wyobrazić współczesnego świata, w ostatecznym efekcie jest również opłacalne. Niepokojący jest spadek zainteresowania władz, zajętych rozwiązywaniem aktualnych, często gorących problemów, tą ważną sferą naszego życia. A przecież w wielu wypadkach mogą i powinny one być nam pomocne.

Prof. Kisielewicz: — Organizacja badań naukowych jest już obecnie w dużej mierze uporządkowana. Określone programy prac badawczych, centralne czy resortowe, sterowane przez Komitet Nauki są również centralnie finansowane. Sądzę, że właśnie z tych środków należałoby wyodrębnić odpowiednią część na badania regionalne, oczywiście takie, które miałyby charakter ogólnospołeczny. Nie jest to jednak postulat, który mógłby być załatwiony tu na miejscu i zapewne na naszym Zjeździe będziemy o tym mówić.

Prof. Szczegóło: — Jest już gotowa koncepcja badań naukowych na następny pięcioletnie, niestety, nie przewiduje ona środków na badania, o które nam chodzi. Do 1995 r. sprawa ta może być niezakończona. Inna rzecz, że właśnie ze względu na tę niewyjaśnioną sytuację, grono ludzi, którzy mogliby te badania podjąć, jest niewielkie. A przecież nie możemy z tych badań zrezygnować w ogóle. Widać to dobrze na przykładzie publikacji na ten temat, których jest coraz mniej. W ogóle brak możliwości publikacji, szczególnie w mniejszych ośrodkach, jest jednym z głównych hamulców rozwoju młodej kadry naukowej.



Doc. dr hab. inż. K. Bącal

Doc. dr hab. inż. Kazimierz Bącal: — A jednak... w minionym 25-leciu na kładem LTN ukazało się ponad 120 książek, większość z nich dotyczyła zagadnień regionalnych. Fakt ten spotkał się z uznaniem Instytutu Zachodniego w Poznaniu, który przyznał naszemu Towarzystwu wyróżnienie za osiągnięcia w dziedzinie publikacji i wydawnictw na temat Ziemi Zachodnich i Północnych. 6 książek znajduje się obecnie w druku. To ku pokrzepieniu. Natomiast jeśli idzie o LTN, to mimo opinii tych, którzy weń wątpią, ja w sens jego istnienia wierzę już od ponad 20 lat. Działam w Komisji Techniki Biomedycznej — jest to dziedzina nauki dopiero rozwijająca się w naszym kraju. Chcę podkreślić znaczącą rolę Towarzystwa w tworzeniu pola dla współpracy i innych działań interesujących się postępowym technicznym w medycynie. A takich po obu stronach jest coraz więcej i oni są twórcami tego postępu, nie tylko w skali regionalnej. Chcę zwrócić uwagę, że nasze Towarzystwo, podobnie jak uczelnia którą reprezentuję, jest jedynym w skali kraju, które podejmuje tego typu działalność. Zedyby nie było nieporozumień: idzie o badania materiałowe dla potrzeb medycyny. Inne uczelnie — znam takie trzy — zajmują się tym od strony elektrotechniki.

W. Nodzyński: — Ma pan w tej dziedzinie już spore doświadczenia, żeby wspomnieć tylko pana owocną współpracę z niezłącadym już, niestety, dr Lechem Wieruszem. Jak ważna jest ta współpraca inżynierów i lekarzy, mówił o tym niedawno w telewizji doc. Religa.

Doc. Bącal: — To oczywiście ułatwia mi pracę, w dziedzinie, jak sądzę, społecznie bardzo ważnej. Ponieważ współpracujemy także z kolegami z NRD, ale są to na razie kontakty indywidualne, należałoby zadbać o poszerzenie tej współpracy. Problemów interesujących obie strony jest wiele. W tej sprawie określone stanowisko powinien zająć najbliższy Zjazd LTN.

Prof. Kisielewicz: — Doc. Bącal wskaża na jeszcze jedną ważną rolę LTN — integracyjną, bez niej lekarzom i inżynierom trudniej byłoby się spotkać. A przecież idzie nie tylko o nich, jest wiele przykładów przenikania nauk na płaszczyźnie Towarzystwa z niezłymi efektami.



Dr A. Toczewski

Dr Andrzej Toczewski: — Do LTN należą ludzie o różnym poziomie zaawansowania zawodowego i naukowego, których łączy wspólne zainteresowanie: są to oprócz już wymienionych m.in. historycy, politolodzy, prawnicy, ekonomiści, matematycy, socjologowie i inni. Towarzystwo stwarza im możliwości twórczego działania, pogłębiania swej wiedzy. W sumie jest to jednak społeczny ruch naukowy. I to stanowi jego ograniczenie. Najpoważniejszą barierą, o której już mówiliśmy, są skromne środki na jego finansowanie. Jeszcze niedawno LTN wspierane było finansowo tylko przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego. Zdarzało się i tak, że Wydział ten nie mógł finansować niektórych poczynań Towarzystwa, ponieważ nie mieściły się one w programie kultury. A mecenat państwowy w tej dziedzinie realizuje się głównie poprzez Fundusz Kultury, z którego finansowane są m.in. towarzystwa kulturalne np. LTK, naukowe — nie. Rodzi się więc potrzeba tworzenia Funduszu Rozwoju Nauki, nie tylko aby wspierać regionalne towarzystwa naukowe. Istnieje przecież szereg innych, określonych potrzeb. Jest to kwestia nowelizacji ustawy o fundacjach, którą podnoszono już na krajowych spotkaniach przedstawicieli regionalnych towarzystw naukowych w Płocku i Gorzowie, gdzie omawiano stan i perspektywy społecznego ruchu naukowego w Polsce. W rezultacie dyskusji uległa zmiana sytuacji tych towarzystw, mogą one już teraz prowadzić także działalność dochodową, a więc w części samofinansować się. Są już tego skutki: rok ubiegły zamknęliśmy sumą ponad 1 mln złotych zarobionych na statutowej działalności Towarzystwa. Pojawiła się dobra perspektywa, zyskujemy środki na rozwinięcie naszej działalności. Sądzę, że moglibyśmy ją dodatkowo zintensyfikować, nawiązując ściślejszą współpracę z Gorzkim Towarzystwem Naukowym — i tu widzę szansę, np. na ożywienie „Przeglądu Lubuskiego”, przecież łączy nas region, nie powinny dzielić granice administracyjne.

Prof. Szczegóło: — Nie byłoby to nic nowego, przez pierwsze 10 lat redagowaliśmy to wydawnictwo wspólnie i nadal kwartalnik ten podejmuje problematykę obu województw.

Prof. Bartkiewicz: — Podnieśliśmy w tej rozmowie szereg kwestii, które na Zjeździe zostaną szerzej omówione, będą wyprowadzone z nich określone wnioski z pożytkiem dla naszej przyszłości.

W. Nodzyński: — Czego Towarzystwu serdecznie życzę. Dziękuję za rozmowę.

Słowo o Tadeuszu

Nieuleczalnie chory, o czym wiedział, także w ostatnim swoim geście pozostał sobą. Rzetelny, zasadniczy, sumienny w życiu, pracy i przyjaźni posiadał Tadeusz Konior w wielu sprawach własne zdanie. Z wykształcenia prawnik, z temperamentu działacz społeczny, kulturalny, partyjny. Po prostu Obywatel w najlepszym rozumieniu tego słowa.

Miał dwie wielkie pasje: film i muzykę. Kilka tygodni temu na tych łamach zamieściliśmy z Nim rozmowę. Wspominał Lubuskie Łań Filmowe, imprezę, której był jednym z animatorów i organizatorów. Wyrażał żal,

że łagowskie spotkania twórców polskiego kina już się nie odbywają.

Przez dziesięć lat z największym poświęceniem przesował Lubuskiemu Towarzystwu Muzyce. To także On stwarzał klimat, w którym mogły się pojawić i rozwinąć w zielonogórskim regionie talenty muzyczne, dopominał się o materialne podstawy dla szkolnictwa artystycznego. Przez kilka lat był wice-dyrektorem wojewódzkiego Wydziału Kultury w Zielonej Górze, następnie szefował Okręgowemu Przedsiębiorstwu Rozwoju Technicznego Filmów. Pełnił te stanowiska z dużym zaangażowaniem.

W ówczesnych dokonaniach kulturalnych na środkowym Nadodrzu wiele jest Jego myśli i pracy.

W ostatnich latach był szefem zielonogórskiego radia, dobry organizator, ujawnił wtedy również zdolności dziennikarskie. Współpracował ze środowiskiem literackim. We wspomnianym już wywiadzie przypominał, jakie są dziś powinności nasze, dziennikarzy.

Zył 52 lata. Spoczął na zawsze na zielonogórskim cmentarzu.

Pozostał w pamięci tych, którzy Go znali, wśród których i dla których z takim oddaniem pracował.

— Dlaczego Układ Zgorzelecki dotyczy „granicy polsko-niemieckiej”, a nie granicy polsko-enerdowskiej?

— Dlatego, że NRD jest państwem, państwem niemieckim.

— Układ Zgorzelecki sankcjonując granice z naszym bezpośrednim sąsiadem nie wywołuje jednak pożądanych skutków międzynarodowych. To, co było dla nas tak oczywiste, nie stało się oczywiste dla drugiego państwa niemieckiego.

— To prawda. Stamtąd nadchodziły różne głosy o tendencjach rewizjonistycznych i głośne propagowanie tymczasowości tej granicy. Przez długi czas

by Niemiecka Republika Federalna uznawała naszą zachodnią granicę, tak jak to uczyniła wcześniej NRD.

— Prowadził pan przez kilka lat rozmowy z osobistym emisariuszem ówczesnego kanclerza Adenauera — Bertholdem Beitzem, które zresztą nie przyniosły pozytywnych wyników.

— On nie zawsze się przedstawiał jako osobisty wysłannik kanclerza, był przede wszystkim działaczem gospodarczym, przedstawicielem Kruppa — firmy, z którą mieliśmy kontakty gospodarcze. Beitz był zwolennikiem normalizacji stosunków między Polską a RFN, ale za Adenauera nie takiego stać się nie mogło.

— Czy może pan przypomnieć, jakie warunki normalizacji stawiane z naszej strony napotykały na największy opór?

— Podstawowym warunkiem nawiązania stosunków dyplomatycznych z RFN

cy na Odrze i Nysie i inne kraje wyraziły nam swoje poparcie. Ale, jak już wspominałem, niektórzy przyjeżdżali do Warszawy i wysuwali sprawę zjednoczenia Niemiec. Kiedy zapytałem jednego z premierów krajów zachodnich, czy naród który reprezentuje tak bardzo chce zjednoczenia Niemiec, odpowiedział: „Bron Boże, nikt nie chce, ale ja tak muszę mówić”. Czynniki hamujące zostały przełamane wówczas, kiedy osiągnięto czteromocarsowe porozumienie w sprawie Berlina Zachodniego. Wówczas to NRD nawiązała stosunki dyplomatyczne z wieloma krajami na Zachodzie. A wszystko to było następstwem układów zawartych pomiędzy RFN a Związkiem Radzieckim i Polską a RFN. Stworzyło to podstawę do podpisania późniejszego Aktu Końcowego KBWE. Nie byłoby Układu Polskiej z RFN bez Zgorzelca i nie byłoby Helsinek bez Układu o podstawach normalizacji między PRL a RFN.

MY I NIEMCY

nie była ona przecież przez RFN uznawana. Ale dla Polski było najważniejsze, że naszym sąsiadem zza Odry i Nysy Łużyckiej jest państwo, które przeciwstawia się wszystkim tendencjom rewizjonistycznym w stosunku do naszej zachodniej granicy. Za Odrą i Nysą mieliśmy niemieckich demokratów, komunistów, socjalistów i przedstawicieli różnych partii, którzy Układ Zgorzelecki aprobowali.

— Istniała jednak konieczność powstania, międzynarodowego zalegającego granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. W 1959 roku w Sejmie wyraził pan gotowość do rozmów z Bonn. Czy nie był to za długi okres oczekiwania na ogłoszenie tej propozycji?

— Za długi od Zgorzelca?

— Tak.

— Nie, raczej za krótki, bo w RFN

było uznanie naszej granicy zachodniej. Warunek ten był zawsze obecny w naszych rozmowach. Oni chcieli nawiązać stosunki dyplomatyczne, ale bez uznania tej granicy, myśmy wtedy wszelkie takie sugestie czy propozycje konsekwentnie odrzucali.

— RFN wówczas wysuwała jeszcze jeden problem, mianowicie chęć likwidacji Niemieckiej Republiki Demokratycznej poprzez zjednoczenie Niemiec. Wtedy wielu premierów zachodnich przyjeżdżało do Warszawy i uważało za celowe poruszać tę kwestię. Bez pytania NRD, czy chce się zjednoczyć. Byliśmy przeciwni temu, ponieważ wiedzieliśmy, że takie samo stanowisko zajmują nasz sojusznik. Była to próba wehlowienia Niemiec, Republiki Demokratycznej, przeciwko czemu protestowało przede wszystkim kierownictwo NRD. Myśmy odpowiedzieli niezłomnie, że nie chcemy mieć i oglądać na swej zachodniej granicy

— Kto był najtrudniejszym partnerem w rozmowach w Warszawie?

— Ze strony RFN rozmowy prowadził ówczesny minister spraw zagranicznych Walter Scheel, ale na co dzień rozmawiał Egon Bahr i inni. Dotyczyły one wielu spraw, ale rozmowy dotyczące samej granicy na Odrze i Nysie miały już charakteru kontrowersyjnego. Oni przejeżdżali po to do Warszawy przyjeżdżali, żeby podpisać ten Układ.

— W przemówieniu Waltera Scheela — już po podpisaniu Układu — znajdujemy akcenty podkreślające pański osobisty wkład w jego opracowanie, a także wiele wyrazów uznania dla polskiej, słowiańskiej gościnności...

— Dziękuję za to przypomnienie. W



Józef Cyrankiewicz w rozmowie z przedstawicielką naszego pisma.

Jeszcze nie przyzwyczaili się do tej granicy. Najlepszym dowodem jest to, że Układ z RFN został zawarty dopiero w 1970 roku, a nie na przykład w 1959, kiedy tam w władzy były partie skupiające w swoich szeregach elementy antypolskie i przeciwne tej granicy, które liczyły, że jeszcze przy jakiejś pomocy uda się wszystko zmienić. Wszyscy jeszcze wówczas pamiętali słynne przemówienie Byrnesa, który zachęcał do remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, wojskowego sojusznika Stanów Zjednoczonych, a za przynętę dawał możliwość rewizji granic. Społeczeństwo polskie ostro przeciwko temu protestowało. Sam w tym uczestniczyłem, kiedy już wróciłem z obozu; organizowaliśmy, PPS łącznie z PPR, wielkie demonstracje przeciwko stanowisku amerykańskiego sekretarza stanu. I cała nasza walka aż do 1970 roku polegała na tym,

Straussa... Układ, który został zawarty w 1970 roku jest właśnie dowodem, że nie trzeba trzeciej wojny, aby uznać obecne status quo w Europie.

— Jak pamiętamy, rozmowy na temat normalizacji stosunków między Polską a RFN zakończyły się 18 listopada 1970 roku o godzinie 4.45. O tej samej godzinie 1 września 1939 Niemcy napadli na Polskę... Czy nie za długo trwały przygotowania do podpisania Układu PRL - RFN?

— Według mnie te rozmowy nie trwały ani godziny za długo. Dobra wola obu stron, aby doprowadzić do końca, poddawana była różnym atakom w RFN. Tymczasem Charles de Gaulle dawno już wypowiedział się za uznaniem grani

ogóle rozmawialiśmy szczerze i otwarcie. I ja także mówiłem ciepło o kanclerzu Brandcie, jako o antyfaszyście, reprezentującym najlepsze tradycje niemieckiej demokracji.

— Willy Brandt w swym przemówieniu wygłoszonym w Wilanowie zauważył, że niełatwo będzie w RFN pogodzić się z literą i duchem podpisanego Układu. Istotnie ratyfikacja Układu nastąpiła w Bundestagu dopiero po dwóch latach.

— Tak. Przecież w gruncie rzeczy następne wybory w RFN były czymś w rodzaju referendum. Znaczące zwycięstwo koalicji dowodziło przewyższenia oporów. To było pogodzenie się z realiami.

Rozmawiała:

BOŻENA KRUK

Heroina jest ich bogiem

Michał Horowicz

Nielegalny przemysł narkotyków stał się jednym z największych biznesów świata. Roczny jego obrót sięga 500 miliardów dolarów. Narkomania prowadzi również do zbrodni; wzrasta gwałtownie ilość przestępstw popełnianych na jej tle. Dla jednego grama kokainy, za jeden zastrzyk heroiny wielu narkomanów zrobi wszystko. Dlatego właśnie narkomania jest tak niebezpieczna, gdyż oddaje młodych ludzi w absolutną władzę handlarzy. Głód narkotyku czyni ich bezwolnym instrumentem w rękach gangów, które na tej placce dorabiają się wielkich pieniędzy.

Tylko w RFN około 100 tysięcy narkomanów, którzy nie mają środków, aby finansować swój nałóg, przekształcił się w złodziei, szantażystów, rabusiów i morderców. Prasa zachodnio-niemiecka pisze, że zalał oni Republikę Federalną bezprzykładną falą przestępstw. Co 3 minuty następuje tam włamanie do mieszkania, co 45 sekund włamanie do samochodu. Główna Komenda Policji RFN mieszcząca się w Wiesbaden informuje, że sprawcami są w przeważającej części narkomani.

W wielkich miastach takich jak Hamburg, Frankfurt n. Menem, Stuttgart, stwierdzają eksperci, że przede wszystkim uzależnieni narkotycznie przyczyniają się do stale rosnącej statystyki przestępstw. To samo potwierdzają raporty policji zachodnoniemieckiej. Szef policji miasta Offenbach stwierdza, że 90 procent popełnianych tam przestępstw dokonują narkomani.

Jeszcze gorzej wygląda sprawa w Stanach Zjednoczonych. Przykładem najbardziej drastycznym jest Nowy Jork, miasto o najwyższych wskaźnikach przestępczości w całym zachodnim świecie. Sprawcami ponad 1/3 zabójstw popełnionych w tym mieście są narkomani. W Los Angeles, gdzie policja naliczyła aż 600 przeważnie narkomańskich band liczących ponad 70 tys. członków, dochodzi codziennie do krwawych walk między nimi. Najmłodsi uczestnicy tych band liczą zaledwie 12—13 lat.

Również w innych krajach przestępczość powodowana przez narkomanów znacznie się nasiliła. Wg danych policji hiszpańskiej w samej tylko stolicy kraju około 90 procent wszystkich czynów przestępczych popełniają narkomani, codziennie przypadają tam średnio dwa rabunki bankowe, 33 napady na sklepy, 120 włamań do samochodów. W Amsterdamie znanym niegdyś z liberalnego stosunku miejscowej policji do narkomanów, rabunki, napady i szantaże stały się tak groźne, że zbulwersowały całą społeczność miasta. Narkomani nagabywali spokojnych mieszkańców w biały dzień groząc im użyciem siły, jeżeli nie oddadzą pieniędzy. Ich ulubioną metodą jest zaczepianie przechodniów groźbą użyciem brzoźwy a standardowy zwrot brzmi: „pieniądze albo ucho!”. Mieszkańcy Amsterdamu zmuszeni byli powołać straż obywatelską, której zadaniem jest ochrona ludzi przed podobnymi incydentami.

Minister spraw wewnętrznych RFN mówi o rosnącym zagrożeniu. Operujące w skali światowej syndykaty narkotyczne wprost zasypują Niemcy Zachodnie swoim zbrodniczym towarem. Kolumbijski kartel kokainy przemycał do RFN w ubiegłym roku około 8 ton kokainy. Włoska mafia dostarczała na rynek niewiarygodną ilość 10 tysięcy kilogramów najbardziej śmiertelnie go narkotyku — heroiny. Do tego trzeba dodać tony haszyszu i marihuany. Ogólna wartość dostarczonych narkotyków przekracza 5 miliardów marek. Wszystkie podejmowane przez władze kroki okazały się nieskuteczne. W porównaniu z pierwszą połową roku ubiegłego — oświadczył szef zachodnio-niemieckiej policji kryminalnej — spożycie narkotyków w Niemczech Zachodnich wzrosło: kokainy o 35 proc. a heroiny — aż o 93 procent.

Hamburski Instytut Socjologii ogłosił ostatnio rzeczywiście alarmujące dane: w skali kraju konsumentem środków odurzających jest co czwarty nielata, a w dużych miastach — nawet co drugi. Już 12—13-letnie dzieci zaczynają używać haszyszu, marihuany (popularna „trawka”) ale zdarzają się wśród nich już coraz częściej konsumenci niebezpiecznych środków chemicznych, takich jak LSD czy też amfetaminy. Wielu uzależnionych używa różnych środków odurzających równocześnie lub przemiennie — co jeszcze bardziej zagraża ich zdrowiu. Niemal wszyscy dostają się jednak w końcu w objęcia „białej śmierci” — królowej narkotyków — heroiny. Ofensywna jest wszędzie: na ulcach, w dyskotekach, domach publicznych a nawet w obozach dla uchodźców 1 gram kosztuje 100—300 marek. Początkujący inhaluje biały proszek tak jak kokainę a ci, którzy potrzebują silniejszych dawek, wstrzykują ją sobie do krwi.

Jako najbardziej z wywołujących euforie środek powoduje ona uczucie absolutnego szczęścia; zwlaszcza u początkujących, u których organizm nie przyzwyczaił się jeszcze do tej trucizny. To właśnie skłoniło narkomanów do nazwania narkotycznych doznań mianem „raju”, i czyni ich ślepych na

wszystkie konsekwencje. Heroina jest ich bogiem. Daj nam, panie, naszą codzienną porcję — głosi ich modlitwa. Strzykawka często przynosi przedwczesną śmierć.

A śmierć szaleje w tym środowisku. Narkomani przeważnie używają wspólnej strzykawki — niemal połowa konsumentów heroiny zaszczepiła sobie AIDS. Wielu umiera dobowolnie. W listach pożegnalnych piszą, że nie mogą już wytrzymać stresów związanych z nałogiem.

Okradają swoich rodziców, szantażują swych przyjaciół lub prostytutki. Tysiące dziewcząt i chłopców, często jeszcze prawie dzieci, oferuje swoje usługi na ulicach wielkich miast europejskich i amerykańskich ryzykując AIDS i choroby weneryczne. Zwłaszcza dziewczęta, zniechęcone i prześladowane przez zawołane prostytutki, należą do najniższej rangi w tej branży. Biją je sutenerzy, molestują pijacy, przez których często zostają oszukane, obrabowane, zwałcone.

Z drugiej strony zagrażają one swojej klienteli. Tysiące prostytutek obciąża plci (szacunkowo około 20 tysięcy w samej RFN) zainfekowanych jest wirusem HIV powodującym chorobę AIDS. Te, które są narkomankami, bez skrupułów zarażają klientów, aby tylko zdobyć pieniądze na środki odurzające. Tak silny jest pociąg narkotyczny, że nawet swój los przyjmują fatalistycznie. „Obchodzi mnie tylko następny zastrzyk, wszystko inne mam w d...”, mówi jedna z nich, rezydująca na dworcu w Hamburgu. Inna, ze Stuttgartu: „heroina jest moim królem, muszę wykonywać jego rozkazy”.

Zycie ich prowadzi do pełnego rozkładu moralnego, psychicznego i fizycznego, uniemożliwia koncentrację potrzebną do wykonywania jakiegokolwiek pracy. Popadają oni szybko w nędzę i często jedynym sposobem zdobycia środków utrzymania a przede wszystkim narkotyków jest przestępstwo i prostytutka. Jako, że narkomania dotyka przede wszystkim środowiska młodzieżowych, przestępczość staje się coraz częściej udziałem ludzi bardzo młodych a nawet nieletnich. Specjalizują się oni w kradzieżach sklepowych i kieszonkowych, są czynni jako złodzieje kolejowi, działają na lotniskach i targowiskach — wszędzie tam, gdzie zbiera się tłum.

Z milionów dorastającej młodzieży, która z ciekawości dąży do przyrody, bądź też idąc śladem otoczenia — spróbuje narkotyków, tylko, na szczęście, znikoma mniejszość wpada w trwałe uzależnienie. Nałogowi ulegają przede wszystkim młodzi pochodzący z rozbitych rodzin i ze środowisk o niskim morale społecznym, mieszkający w gęstych przedmieściach wielkich miast (zw. satelickich, gdzie anoniowość i brak więzi sąsiedzkich jest trwałą zjawiskiem. Nie mogą znaleźć pracy i nie chodzą już do szkoły, nie mają żadnych perspektyw, stanowią oni potencjalną bazę społeczną, z której najczęściej rekrutują się narkomani. Zagrożone są jednak również dzieci z mieszczańskich rodzin. Nigdy nie odczuwały one niedostatku, ale zawsze odczuwały brak ciepła rodzinnego. Należą one tylko do konsumentów państwa dobrobytu, a nie mając żadnych pasji i zainteresowań lekko sięgają po narkotyki.

Ogromną siłą stanowią handlarze narkotyków, od wielkich hurtowników i potentatów aż po małych pośredników ulicznych. W zachodnio-niemieckich szkołach handluje się narkotykami jak towaram w supermarketach. A dopływ coraz to nowych narkotyków stale rośnie. Ich przemysł na wielką skalę trwa i przybiera na sile, pomimo czujności celników i czestych akcji władz policyjnych. W samym tylko roku 1987 na zachodnio-niemieckich granicach zatrzymano 7 436 osób pod zarzutem przemytu narkotyków. Mimo surowych kar (np. policyjny piloci, którym udowodniono przemyt zostali skazani przez sąd zachodnio-niemiecki na 6 lat pozbawienia wolności) nigdy nie barkuje chętnych do działania w narkotycznym biznesie. Zysk jest tu bowiem kolosalny, szczególnie dla wielkich bossów narkotycznego imperium. Jest to bowiem jedyny towar, który waży mniej, aniżeli dolary jakie za niego zapłacono.

Dopóki ten towar mieć będzie nabywców, dopóty znajda się jego dostawcy. Jest to analogia do prostytucji. Do

Ciąg dalszy na str. 5

Jesienią 1970 roku rozpoczęliśmy tournée po największych estradach USA. Wystapiliśmy m.in. w „Madison Square Garden” i w słynnym „Los Angeles Forum”. Byłem wtedy blisko i serdecznie zaprzyjaźniony z moimi braćmi. Często występowaliśmy razem. Wprawdzie nie wyrzucaliśmy lewizorów z hotelowych okien, ale majstrowaliśmy bomby wodne i zrzucał je z balkonów. Urządzaliśmy też dzięki wysiłki po korytarzach, zapasy, wojnę na poduszki albo bitwy przy pomocy kremu do golenia.

W każdym hotelu ojciec zajmował pokój między mną a Jermainem, żeby mieć nas na oku. Ilekroć chciał nas rozdzielić, przysyłał nam nagle w nocy horde dziewczyn. Budziliśmy się otoczeni tłumem rozchichotanych panienek. Było to okropne.

Zawsze, gdy przyjeżdżaliśmy do nowego miasta, lubiliśmy lazieć po składowach. Obłąkały nas grupy rozhisteryzowanych dziewczyn. Rozbijaly szklanki, wchodziły na lądzie i zrzuciły kasy na podłogę. Balisimy się uduślenia lub rozerwania na strzępy. Siegało po nas tysiące rąk. Jakaś dziewczyna wykreśliła mi rękę, inna zdjęła zegarek. Ciągnęły mnie za włosy, aż skóra na głowie paliła jak ogień. Kiedyś przewrócili mnie, potłukli mi i byłem cały obolały. Do dziś wiem, kie-

rat mieliśmy zdjęcia w Brooklynie i głośno czytaliśmy teksty. Dostałem do przeczytania cytaty Sokratesa. Dotychczas nie miałem okazji wypowiedzieć tego imienia. Więc mówię: „Sokrates”. Zapanowała cisza, a po chwili ktoś szepnął mi do ucha: „So-kra-tes”. Obejrzałem się i zobaczyłem człowieka z charakterystycznym grymasem ust. Jego twarz wydała mi się znajoma. Podał mi rękę i powiedział:

— Quincy Jones. Jestem kompozytorem muzyki do tego filmu.

Pierwszy raz spotkałem Quincy Jonesa w Los Angeles, kiedy miałem 12 lat. Przedstawił mi go Sammy Davis — Junior. Quincy opowiadał mi później, że Sammy wówczas powiedział mu o mnie:

— Ten chłopak będzie kiedyś wielką bombą.

— Rzeczywiście? — odparł na to Quincy Jones.

Od czasu kreowania „The Wiz” staliśmy się przyjaciółmi. Powoli „Q”, jak nazywali go znajomi z powodu jego zamiłowania do Barbecue, stał się moim drugim ojcem.

W 1970 roku, gdy miałem 21 lat, postanowiłem wziąć swą karierę we własne ręce. Rozwiązałem umowę z ojcem, ponieważ miałem całkiem odmienne poglądy na muzykę. Nie było to przyjemne zwalniać własnego ojca,

W taki sposób „Girlfriend” znalazł się zarówno na longu Paula, jak i moim. I dlatego mój album otrzymał inny tytuł. Płyta zawierała w większości spokojne ballady, co odróżniało mnie od Jackson Five. Najbardziej osobistą z piosenek w albumie była „She's Out Of My Life”, w której opowiadałem o nieszczęśliwym związku z dziewczyną. Podczas nagrywania tej piosenki ogarnął mnie taki smutek, że zacząłem płakać chowając twarz w rękach. We wszystkich głośnikach słychać było moje szlochy, z czego nie zdawałem sobie sprawy.

W ciągu 21 lat miałem więcej doświadczeń, niż inni ludzie w ciągu całego życia. Nie doznałem jednak nigdy uczucia prawdziwego szczęścia. Niektórzy mówią mi, że skończył jak Elvis Presley, jeżeli nadal będę żył w izolacji. W czasach szkolnych niektórzy dziewczyny uważały za miłe, ale byłem zbyt nieśmiały, żeby zacząć z nimi rozmowę. Moje wszystkie przyjaźnie z dziewczynami były nieszczerliwe. Jeszcze dziś trudno mi spojrzeć dziewczynie prosto w oczy. Są takie, które chcą mnie poznać i dzielić ze mną samotność. Tymczasem jednak pozostaję w dalszym ciągu sam. Jestem najbardziej samotnym człowiekiem na świecie.

ry. Ta płyta mogłaby wreszcie udowodnić, że stałem się dorosły. Chciałem więcej. Już jako mały chłopak marzyłem, by kiedyś nagrać płytę wszechzawiesz.

Kiedy wyraz z Quincy Jonesem i kompozytorem Rodem Tempertonem rozpocząłem pracę nad „Thrillerem”, jeden z nich mnie zapytał:

— Czy bardzo będziesz rozczarowany, jeśli ten album nie będzie się tak dobrze sprzedawał jak „Off The Wall”?

To pytanie strasznie mnie zdenerwowało.

— Jasne, że „Thriller” musi się lepiej sprzedawać — odpowiedziałem. — Ta płyta pobije wszelkie rekordy!

A oni tylko się śmiali. Mieli wątpliwości.

Czy można dawać z siebie wszystko, jeżeli inni w to nie wierzą? Jestem totalnym perfekcjonistą. Zawsze chcę dawać z siebie tylko to, co najlepsze. Nawet, gdy przyjdzie mi pracować do upadłego.

Z początkiem 1983 roku rozpoczęliśmy pierwsze nagrania „Thrillera”. Po kilku dniach wpadłem na pomysł, by zaprosić do współpracy Paula McCartneya. Zadzwoń do niego do Londynu:

— Chcesz, żebyśmy razem napisali kilka hitów?

Wynikiem naszej współpracy są „Say Say Say” oraz „The Girl Is Mine”. Praca z Pauliem była wielką przyjemnością. Jest to muzyk znakomity i wielostronny.

Nie wszyscy wiedzą, iż zasługą Paula jest, że zainteresowałem się pracą wydawcą. Kiedy odwiedziłem McCartneya w ich domu w Anglii, Paul dał mi cenną książeczkę, na okładce której widniały inicjały „MPL”. Książeczka zawierała listę wszystkich kompozycji, do których Paul posiadał prawa. Kiedy później wydano katalog muzyczny ATV, dekooptowałem do tej listy i ja.

Zanim opowiem dalszą historię „Thrillera”, chciałbym zrobić kilka uwag na temat piosenki „Billie Jean”. Ludzie pytają mnie o sens zawarty w tekście. Chodził tam o dziewczynę, która twierdziła, że jestem ojcem jej dziecka. Bzdura. Taka dziewczyna nie istnieje. Są za to dziewczyny, które twierdzą, że moi bracia są ojcami ich dzieci. Ta piosenka chciałem się z tymi dziewczynami polizować.

Przychodzą pod mój dom panienki i opowiadają głupoty, jak np.: „Jestem żoną Michaela”. Jedna wariatka mówiła mi kiedyś dniami i nocami. Twierdziła, że zesłał ją na ziemię Jezus, by ze mną porozmawiała.

Kiedy nagrania do „Thrillera” zbliżały się ku końcowi, firma płytowa zaczęła nas poganiać. Pracowaliśmy więc jak oszaleci, żeby album mógł ukazać się w terminie. Kiedy wreszcie w „Westlake Studio” w Hollywood przesłuchaliśmy skończone nagrania, brzmiały one tak, że chciało mi się wyć. Płyta mogła zrujnować w taki sam sposób, jak rujnuje się filmy: na stole montażowym. Pierwsza wersja „Thrillera” okazała się totalnym zbrodzeniem. Byłem okropnie zły. Powiedziałem do ludzi:

— Nie opublikujemy tej płyty! Zadzwońcie do CBS i powiedzcie, że nie dostaną tego albumu!

CBS mało nie zwariowała. Ale co innego jej pozostało, jak zgodzić się na nowy mix „Thrillera”? Tak więc znów przystąpiliśmy ostro do roboty i tygodniowo robiliśmy dwa utwory. Rezultat był wspaniały i CBS też mogła te różnice stwierdzić. Nie mogę sobie przypomnieć, abyśmy uczcili koniec pracy. Nie poszliśmy do dyskoteki, ani do restauracji, tylko zwyczajnie odpoczywaliśmy. To był mój sposób świętowania.

Koncepcja video-clipu „Thrillera” pojechała na tym, aby film kręcić do muzyki, a nie odwrotnie. Kiedy obejrzałem wszystkie możliwe teledyski, byłem rozczarowany ich słabością i prymitywizmem. Pomyślałem, że ludzie coś takiego oglądają tylko dlatego, bo nie mają lepszych propozycji. A ja właśnie chciałem zrobić taki clip, który przywołałby widza do fotela — i który będzie się chciał wciąż na nowo oglądać!

„Billie Jean”, mój pierwszy video-clip, kosztował CBS 250 tysięcy dolarów, co wtedy było bardzo dużą kwotą. Drugim moim video-clipem był utwór „Beat It”, reżyserowany przez Boba Giraldego. „Beat It” miał być filmem twardym i brutalnym, takim jak gangi w wielkich miastach, o których traktuje. Zaproponowałem do pracy kilka młodocianych band z Los Angeles, które grały po prostu siebie. Z takimi ludźmi nie miałem w życiu zbyt wiele do czynienia, dlatego też zaangażowałem goryli przy zdjęciach.

Te środki profilaktyczne okazały się zbędne. Chłopcy okazali się skromni, przyjaźni i serdeczni. W przerwach otrzymywali ciepłe posiłki, po zjedzeniu których sami sprzątali naczynia. W życiu codziennym byli agresywni, bo walczyli o uznanie. U mnie ich mieli. Zrobiłem ich gwiazdami. Nawet jeśli tylko na jeden dzień, ale — gwiazdami.

Tłumaczyła i opracowała
BEATA BARTOSIEWICZ

Heroina jest ich bogiem

Ciąg dalszy ze str. 4

półki są klienci — tak długo ten najstarszy zawód świata będzie istniał. Przemysł narkotyczny przynosi zbyt duże dochody, aby cokolwiek mogło od niego odstąpić. Syndykaty narkotyczne podporządkowały sobie wpływowe koła w poszczególnych państwach, aby tam móc bezkarnie produkować, magazynować i wysyłać do miejsc przeznaczenia heroine, kokainę, haszysz i marihuanę.

Prasa amerykańska stwierdza, że do takich krajów zaliczyć można Panamę i Boliwii, Birmę i Boliwii, Haiti i Wyspy Bahama. To samo dzieje się w Libanie. Ten straszliwie zniszczony przez wojnę domową kraj, jest jednym z największych dostawców narkotyków. Sieć narkotycznego imperium sięga do leku w głąb Brazylii, Meksyku, Kolumbii.

Warto dodać, że zyski ze sprzedaży narkotyków płyną nie tylko do kieszeni rekinów tego biznesu, ale również do skłóceńskich terrorystów w Indiach, tamskich separatystów, kurdyjskich partyzantów, afgańskich muhaddidów, nikaraguańskich kontrast. Jednak gros kapitałów narkotycznych które odcenia się już dzisiaj wyżej, aniżeli petrodolary znajduje sobie miejsce w szacownych bankach; przynosi dalsze zyski w postaci ogromnych inwestycji. Kontrolują one 8.200 hoteli i moteli w samych tylko Stanach Zjednoczonych, ulokowane są w drapaczach chmur Manhattanu, kasynach Las Vegas — w wiciu innych interesów prowadzonych przez narkotyczne mafie. W krajach produkujących surowiec do środków odurzających miliony ludzi zajęte są tą działalnością. W samej tylko Boliwii pracuje przy zbiorach i wstępnej przeróbce kokainy około pół miliona osób — 1/3 całej siły roboczej tego kraju. W biednych krajach andyjskich wpływy z eksportu plodów plantacji kokainowych stanowią np.: w Peru i Kolumbii 3/4 wartości całego eksportu. To samo dotyczy Birmy. Afganistan, w którym władza demokratyczna została w dużym stopniu wytrzebiona uprawą i produkcją środków narkotycznych, staje obecnie przed nowym egzaminem w tej dziedzinie. Przebijający w pakistańskich obozach afgańscy rebelianci nauczyli się tam wiele w tym zakresie i zamierzają po powrocie do kraju produkować nie tylko surowe opium, ale wytwarzać również z niego heroine, której wywóz do Europy Zachodniej i USA jest o wiele bardziej zyskowny.

Cała ta fala narkotyczna zalewa najbardziej rozwinięte kraje świata i stawia je przed coraz nowymi problemami. Pomysłowość przemysłników narkotyków nie zna granic — np. jak informowała nasza telewizja — z pozorów nie winna szopka betlejemiska okazała się zbudowana z kokainy.

Wracając do imperium narkotycznego: jeszcze kilka drastycznych przykładów. Nikaraguańscy kontrast subwencjonowani dotychczas przez Waszyngton obawiają się wkrótce utracić źródło egzystencji i dlatego tym silniej biorą się za uprawę i produkcję narkotyków. Słynna sprawa dostarczania przez Amerykę broni Iranowi w zamian za uwolnienie zakładników znana pod nazwą „Irangate” okazała się także aferą narkotyczną. Główna sprężyna tej afery pułkownik Oliver North, który zapewniał Kongres o swej niewinności oraz o tym, że służył tylko Bogu i Ojczyźnie, okazał się spiritem movens narkotycznego biznesu. Samoloty, które do starczyły broni dla środkowoamerykańskich kontrast, zabierały w drogę powrotną do USA pełne ładunek narkotyków.

Aby przeciwdziałać tej ofensywie narkotycznych bossów rząd USA powołał wyspecjalizowaną agendę zwaną w skrócie DEA. Zatrudnia ona w samych Stanach ponad 3 tysiące funkcjonariuszy oraz około 500 rozzębanych po całym świecie w najbardziej niebezpiecznych punktach działalności mafii narkotycznych. Jej roczny budżet wynosi ponad 500 milionów dolarów. Cóż to jest jednak wobec 500 miliardów roznego obrotu, którymi operują bossowie narkotycznego syndykatu opłatającego swymi mackami bez mała świat cały.

MICHAŁ HOROWICZ

MICHAEL JACKSON

o sobie

(2)

dy i w jakim mieście „zarobiłem” bliżej.

Największym problemem, z którym jako nastolatek musiałem się uporać, nie były dziewczyny, ani praca w studio czy na scenie. Było nim moje dojrzewanie. Całą twarz miałem pokrytą straszny trądzikiem. Koszmar. Czasem bałem się pokazać ludziom. Miałem uczucie, że cały jestem jednym wielkim pryszczem. Komuś, z kim rozmawiałem, nie patrzyłem w oczy. Nie chciałem wychodzić z domu i nie robiłem.

Z dnia na dzień rosły problemy z „Tamla Motown”. Chcieliśmy sami pisać piosenki, ale w „Motown” twierdzono:

— Nie potraficie. Nie jesteście jeszcze dojrzały. Potrzebujecie ludzi, którzy to zrobią!

Firma nie tylko odmawiała spełnienia naszej prośby, ale nawet zabroniła nam o tym publicznie mówić. Zaczęliśmy nienawidzić utwory pochodzące z „Motown”. Były nudne i zbyt gładkie.

Moji bracia i ojciec nie mieli odwagi rozwiązać umowy z „Motown”. Postanowiłem, że porozmawiam o tym z Berry Gordym. Był to najcięższy krok w moim życiu, bowiem Berry'emu zawdzięczaliśmy wszystko. Uważałem go za geniusza. Bez niego moje życie ułożyłoby się inaczej. Ale nasza decyzja była wstępnie do „Epic Label”, a następnie do CBS.

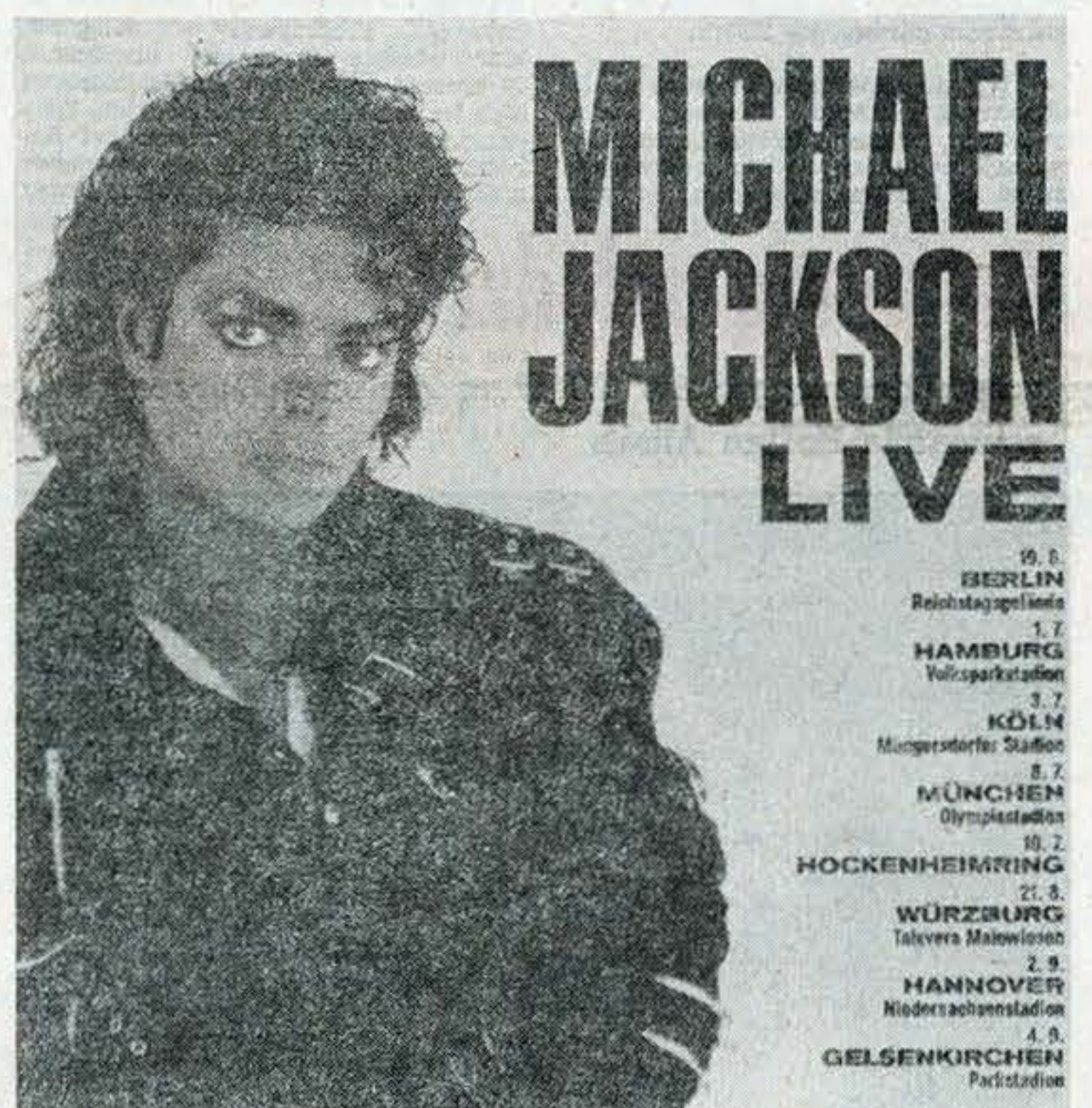
Kiedy już zatroszczyliśmy się skutecznie o właściwe układy, Jermaine niespodziewanie oznajmił, że zostaje w „Motown”, bo żeni się z córką Berry Gordy'ego. Jermaine zawsze stał na scenie po mojej lewej stronie i grał na basie. Pamiętam do dziś nasz pierwszy występ bez niego. Czulem się podczas niego jak nagi. W miejsce Jermaine wszedł do grupy nasz brat Randy.

Zerwanie z „Motown”, odejście Jermaine — wszystko to zaskoczyło nas bardziej niż myśleliśmy. W dodatku dał mi się namówić do zagrania w idiofonicznej serii telewizyjnej. Od 1971 roku szła w TV seria rysunkowa „Jackson Five”. Podobano mi się być rysunkową postacią, ale tego nowego show nienawidziłem. Musieliśmy wkładać śmieszne kostiumy, opowiadać kretynskie dowcipy i każdego dnia robić trzy nowe numery taneczne. W jednym tygodniu byłem Świętym Mikołajem, w następnym księciem, a w trzecim królem ciemnym.

Ten cholerny telewizyjny show zrujnował nasz image. Odbywaliśmy tournée przy prawie pustych widowniach. Potem rzadko już pracowaliśmy dla telewizji. Jestem muzykiem, a nie show manem.

Kino natomiast uważałem za coś fascynującego. Mając 19 lat otrzymałem pierwszą propozycję zagrania w filmie „Tamla Motown” wykonania praca do musicalu „The Wiz”. Była to zmodyfikowana wersja „Czarodzieja Oz”. Diana Ross grała Dorothy, a mnie powierzono główną rolę — stracha na wroble. Zawsze byłem fanem Charlie Chaplina i w jego stylu chciałem zagrać tę rolę. Film miał kapitalnie, choć bardzo skomplikowane numery taneczne. Uczyłem się układów tak szybko, że ani Diana, ani inni aktorzy za mną nie nadążali. Wprowadziłem ich w zakłopotanie, toteż usiłowałem te moje umiejętności trochę ukrywać.

Nie mogłem przewidzieć, że podczas kręcenia tego filmu dojdzie do przełomowego spotkania w moim życiu. Aku-



MICHAEL JACKSON
LIVE

- 19.8. BERLIN Reichstadion
- 1.7. HAMBURG Volksparkstadion
- 1.7. KÖLN Müngersdorfer Stadion
- 8.7. MÜNCHEN Olympiastadion
- 10.7. HOCKENHEIMRING
- 21.8. WÜRZBURG Talavera-Mallotstadion
- 2.9. HANNOVER Niedersachsensportplatz
- 4.9. GELSENKIRCHEN Parkstadion

ale chciałem wreszcie sam decydować o swoim życiu.

Po „The Wiz” zadzwoniłem do Quincy'ego:

— Chciałbym nagrać nowy longplay, solo. Czy możesz polecić mi producenta?

Quincy wymienił kilka nazwisk, po czym wpadł na pomysł:

— Dlaczego nie weźmiesz mnie?

Na to bym nie wpadł, ponieważ Quincy był aranżerem w zasadzie w jazzie i kompozytorem filmowym, a nie producentem pop. Dzisiaj cieszę się, że tak się stało. Jest to najlepszy producent, jakiego znam. Wspaniały organizator, znakomity muzyk, uważany słuchacz i krytyk. Zna wszystko i wszystko.

Po tej telefonicznej rozmowie zaczęliśmy przygotowania do mojego albumu „Off The Wall”, który powinien na zyskać się właściwie „Girlfriend”, od piosenki Paula i Lindy McCartneyów. Paula poznałem podczas party na statku „Marry Queen”, który stał w Long Beach. Zaproponowałem mu tam jego córkę Heather, ponieważ lubiła muzykę „Jackson Five”. Paul uścił mi dłoń i powiedział:

— Napisałem dla ciebie piosenkę.

I zanuścił ją. Potem przez kilka lat nie spotykaliśmy się. „Girlfriend” ukazał się na jego longplayu „London Town” w 1978 roku.

Brzmiało to niewiarygodnie, ale Quincy nie wiedząc o mojej rozmowie z Pauliem, zaproponował mi później nagranie nowej wersji „Girlfriend” na mój solowy longplay, twierdząc:

— Ten kawałek jest wymarzony dla ciebie.

Moją pierwszą prawdziwą dziewczyną była Tatum O'Neal, aktorka, córka Ryana O'Neala. Spotkał się pewnej nocy w klubie „On The Rox” na Sunset Strip. Siedziałem tam i nagle poczułem cudownie miłą rękę. Może dla innych to nie specjalne, ale dla mnie dotknięcie to znaczyło wiele. Wymieniliśmy numery telefonów. Potem poszliśmy razem na party do Hugh Hefnera, szefa „Playboya”. Zakochał się w sobie. Staliśmy się sobie bardzo bliscy. Do dziś jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi, mimo że Tatum jest żoną Johna McEnroe'a.

Przez pewien okres byłem zakochany w Brooke Shields. Natomiast Liza Minelli była dla mnie starszą siostrą. Rozmawiałem z nią o showbusinessie lub chodzącym razem do kina.

Całkiem inna sprawa z Dianą Ross. Kiedy dowiedziałem się, że wychodzi za mąż, zadrżało mną z zazdrości. Znam Dianę od czasu, gdy byłem dzieckiem. Po rozpoczęciu współpracy z „Tamla Motown”, przeprowadziłem się z Garym do południowej Kalifornii i część mojego rodzeństwa mieszkała u Berry Gordy'ego, a część u Diany. Ona dała nam uczucie prawdziwego ciepła. Była cudowna.

Wiele nauczyłem się od Diany. Kupowała farby i razem malowaliśmy. Chodziliśmy do muzeów, gdzie pokazywała mi dzieła Michaelangelo i Degasa. Diana była moją matką, ukochaną i siostrą w jednej osobie. Zawsze będę ją kochał.

„Off The Wall” została wydana w sierpniu 1979 roku i sprzedana w USA prawie w sześciu milionach egzempla-

Zimowa pocztówka z Zielonej Góry

Anioł opuścił miasto

informację o tym można uzyskać przez telefon
nie wychodząc z domu
można przewidzieć
że gwiazda nie wzięła
uniknąć stania na wieżach
wciąż w oczekiwaniu
może się rozjaśni niebo może okno
ale anioła nie ma
i nie wiadomo
czy kiedy wróci
stąd te ciągłe deszcze stąd wiatr popielaty
dachówki teraz strąca i czapki futrzane
które po Placu Słowiańskim skaczą jak króliki dziki
a polowania na nie są popłochu pełne
zatem
zostanie z deszczem
idzie z deszczem
deszcz z wami
mogę wam dać na drogę mój zmoknięty wiersz

Od wzgórz idę od fontanny i od filharmonii
Gubiąc za sobą gorzki roślina powiew
Czy tak tracony dzień i blask
Bez ironii tu wypowiem

Na Mariackiej na Żytniej i na Fabrycznej
Wędrowcy z Litwy z Gniezna i ze Śląska
Niosą twarze kamienne proste żniwie
Z ich tobolek i walizek dziwny promień wzrasta

I ja się wspinał by czoło podnieść
Przed Klema obrazem przed witrażem
Gdzie światła treść samej sobie jest wierna
Jak chłopski w modlitwie Mariana Kruczka ołtarz

Olówek kartka owoce chleb i kamień
Niewiele pragnę — przepięciom ulic oddać
Na liściach mniej ranione znamię
I temu co nie kłamie się poddać

W winnicach

Winogrona jak kolibry
skaczą
po strunach lodyg

z zielonych krtani
wyfruwają
ptasząt trele

pośrodku miasta
następczyni się wzgórze
na skłóć kórzeni

upał ścieka
słodkimi kroplami

W kadiach dojrzewa chłód
co przyprawia mnie
o zawrót głowy

— Jaka organizacja jest obecnie Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej?

— Polityczną, ideową, wychowawczą. Wielorodową: w mieście i na wsi, w szkołach, uczelniach, wojsku. Ponadto w pewnym sensie socjalno-ekonomiczną, co wynika z potrzeby czasu, a co niektórzy mają nam za złe.

— Co ważnego dzieje się obecnie w waszym Związku?

— Przygotowujemy się do konferencji wojewódzkiej oraz do krajowego zjazdu, który odbędzie się w kwietniu br. i na którym mamy nadzieję wiele spraw wyjaśnić. Od lipca 1981 r., czyli od III nadzwyczajnego zjazdu ZSMP trwa u nas pewien niepokój, są dyskusje, pojawiają się różne opinie i pomysły.

— Powiedzmy sobie: kryzys. Ale zbiu rokratyzowaliście się znacznie wcześniej. Potworzyliście wydziały, referaty, sekretariaty, gabinety. Biurokracja pod cięła już niejedne skrzydła.

— To prawda. Toteż w tych niespokojnych dyskusjach zastanawiamy się, czym ma być ZSMP: instytucją czy ruchem. Póki co zlikwidowaliśmy część etatów i stanowisk. Za to mamy archiwistę, który porządkuje całą rozsypaną w papierkach przeszłość.

— O czym mówią młodzi ludzie w 1989 roku?

— O pieniądzu, gdzie i w jaki sposób je zarobić. O mieszkaniach, że ich nie ma. O reformie, pierestrojce i polityce? Tak, o tym też. Często mówią o zagubieniu. Przeżywają kryzys wszelkich wartości. Lecą w gruzy pomniki i autorytety, to, co było prawdą, okazuje się, że nią nie było, ci, którzy wczoraj mówili — czarne, dziś mówią — białe. Trudno się w tym wszystkim odnaleźć młodemu człowiekowi.

— Nie tylko młodemu.

— Zapewne. Ale młodość ma ciekawą skórę. Jej wrażliwość jest większa. Jak żyć, komu wierzyć i w co wierzyć? Te pytania stawiają sobie członkowie ZSMP, ci, w których jeszcze nie wygasł entuzjazm, wiara, iskra.

— Myślę, że takich młodych osób jest sporo. Choćby w radach narodowych, dość wyraźnie odmłodzonych.

— W radach miejskich i gminnych mamy 323 ZSMP-owców, w WRN trzy-nastu. Mamy też dwóch posłów młodzieżowych. Nasi członkowie są sołtysami, działają w samorządach pracowniczych, w związkach zawodowych, w partiach politycznych. Są rzecznikami spraw młodzieży. Miewają z tej pracy satysfakcję, ale miewają też rozczarowania. W 1984 roku wybraliśmy młodych radnych z autentyczną żylką społeczną, z pasją, chęcią. Zabierali głos na posiedzeniach, przypominali sprawy do załatwienia, o coś dopominali się, walczyli. Po skończonej kadencji odeszli rozczarowani. Mówili: „Nie razy można zabierać głos na ten sam temat, bez efektu? Z wniosków i postulatów, które zgłaszała ludność na zebraniach przedwyborczych, nie zostało zrealizowane prawie nic! A przecież tym ludziom coś się obiecywało, dawało się nadzieję, jak teraz spojrzeć im w oczy?” Młody człowiek, jeszcze nie dość „znieczulony”, nie może się z tym pogodzić.

— Oglądał pan w telewizji spotkanie młodzieży z sekretarzem KC PZPR Leszkiem Millerem?

— Oglądałem, a dzień wcześniej sam uczestniczyłem w spotkaniu z sekretarzem Millerem. Dyskusja pokaza-

na w telewizji mnie i moich kolegów bardzo poruszyła. Czy trzeba było aż 1989 roku, by takie spotkanie odbyć? Czy nie straciliśmy kilku cennych lat?

— Widać brakowało odważnych.

— Niestety. Musimy sobie „wygar-niać”, sprzeczać się, polemizować, by z czasem dochodzić do wspólnych wniosków. Mam tylko obawę, by spotkanie w KC nie posłużyło niższemu instancjom partyjnym, jako swoista „wytycz-na”. Organizowanie takich spotkań wszędzie, byłoby schematyzmem.

— Młodość ma to do siebie, że nie lubi procesów wykopaliskowych, natomiast ostro wkracza we współczesność, bo ta niesie pilne życiowe sprawy do załatwienia...

— Zgadza się. Ale nie będziemy unikać dyskusji trudnych. Będziemy w ZSMP tworzyć dyskusyjne kluby polityczne i mówić w nich o wszystkim otwarcie i szczerze. Tych, którzy myślą inaczej niż my będziemy słuchać i starać się zrozumieć. A następnie słuszną argumentacją wygrać swoje racje.

— Mówiło się do niedawna o „przo-dującej” młodzieży zrzeszonej w

ZSMP”. Pod słowem „przodującej” rozumiano się m.in. jednolitej politycznie. Czy ZSMP w nowym pejzażu kraju będzie związkiem politycznie jednolitym?

— Nie musi. Będzie organizacją otwartą dla każdego młodego człowieka bez względu na jego poglądy. W coraz większym stopniu przyjmuje się u nas wszelaką tolerancję. Plenum KC PZPR uchwalilo pluralizm polityczny. Jest większa swoboda stowarzyszeń. W tej sytuacji nie możemy być związkiem hermetycznym. Nie będziemy nikogo rozliczać z jego światopoglądu. Nikomu nie powiemy: „Nie możesz do nas należeć, bo nie jesteś komunistą”, albo „bo nie jest komunistą twój ojciec”, albo „ponieważ chodzisz do kościoła”. I tak dalej. Chodzi o to, abyśmy znaleźli wspólny język i działali razem dla kraju.

— Przed paru laty wszedł w życie rządowy „program poprawy warunków startu życiowego i zawodowego młodego pokolenia”. I co?

— I nic. Program pozostał tylko pamiątkowym dokumentem. Warunki swe go startu zawodowego młodzież ocenia bardzo źle. Niskie płace, praca nieatrakcyjna, perspektywy awansu odległe, adaptacja w zakładzie trudna, świadczenia socjalne coraz bardziej znikome. Co piąty młody człowiek przynajmniej raz w roku zmienia zakład pracy. Odbija się to niekorzystnie na produkcji i działalności zakładów, nie mówiąc już o tym, że przy braku ciągłości pracy i przywiązania do zawodu, nie ma mowy o podwyższaniu kwalifikacji. Tyle o sprawach zawodowych. Natomiast o warunkach startu życiowego młodzieży w ogóle szkoda gadać. Wszystkiego brakuje: mieszkań, pieniędzy, widoków. Gdyby pani postawiła mi pytanie, za czym biegnie młody człowiek Anno Domini 1989, odpowiem natychmiast: za pieniądzem.

— Macie własną ustawę o młodzieży i własnego ministra.

— Ustawa o młodzieży, o którą ZSMP walczył w latach 1982—1984, nie jest w praktyce realizowana, a minister do spraw młodzieży zajmuje się głównie sportem.

— Jest sporo organizacji, stowarzyszeń, kół i innych struktur działających na rzecz młodzieży.

— W sumie jest ich w kraju ponad dwieście. Nie wierzę pani, ale to fakt: pracują w nich w większości ludzie po pięćdziesiątce.

— Młodzi dorastają i z czasem automatycznie wychodzą z ZSMP. Czy w sytuacji ekonomicznej, jaka jest i biorąc pod uwagę, co wcześniej powiedzieliśmy, liczy pan na nowych członków?

— Otóż liczę! Młodzi będą wstępować do nas, gdyż przyciągną ich nasze oferty, które są nieodparcie atrakcyjne. Powiem o dwóch najbardziej przyciągających. Pierwsza to FASM, czyli Fundusz Akcji Socjalnej, dający możliwość dodatkowego zarabiania. Druga nosi inicjały BP: budownictwo patronackie. Młodzi przyjdą do nas we własnym interesie.

— I to jest ta, wspomniana przez pana na początku, cecha socjalno-ekonomiczna ZSMP.

— Właśnie. Zaczęliśmy przed laty nie śmiało, a teraz jesteśmy prawie potentatami. Jedną trzecią część wykonanego planu budownictwa mieszkaniowego w województwie zielonogórskim, to budownictwo patronackie ZSMP.

— Własne mieszkanie to jeden z nieodzownych warunków udanego startu życiowego. Niestety, daleko jeszcze do sytuacji, w której ten warunek będzie można w każdym przypadku spełnić.

Za czym gonią młodzi?

Z Ryszardem Adamem przewodniczącym ZW ZSMP w Zielonej Górze

rozmawia Halina Ańska



Ryszard Adam: — Wszystkiego brakuje, mieszkań, pieniędzy, widoków...

— Liczba oczekujących na mieszkania w województwie zielonogórskim wynosi 26 tysięcy. W tym ponad 65 procent stanowią ludzie młodzi. Chcemy im pomóc. Będziemy dalej rozwijać ruch spółdzielczy, tak, by objął wszystkie te miejscowości, w których mało się buduje, a planowany okres oczekiwania rysuje się na kilkanaście i więcej lat.

— A inne cechy ZSMP, które wymienia pan na początku, czy wyrażają się w równie ekspansywnych ofertach?

— Rozwijamy kluby, które już są, zakładamy nowe. Chcemy przyciągnąć młodzież szkolną. Wychodzimy z różnymi propozycjami. W Zarach działają lat Centrum Kultury Młodzieżowej: disco, karate, fotografia itp. W WSP w Zielonej Górze — klub turystyczny „Quo vadis”, w Nowej Soli — klub

odpisy, w sumie niemałe, z Funduszu Akcji Socjalnej Młodzieży. Ponadto zamierzamy w najbliższym czasie powołać spółkę, która też powiększy nam środki finansowe.

— Ile was jest w województwie zielonogórskim?

— 28.500 osób. Z tego 2.600 należy do PZPR i około 400 do ZSL.

— Co sądzą młodzi członkowie PZPR o swojej partii?

— Oceniają to, co widzą. Towarzysze, zwłaszcza z aparatu partyjnego, bo tych widać najlepiej, nie zawsze są wzorcami dla młodzieży. Starsi wiekiem i doświadczeniem działacze partyjni powinni promować ciekawe, nowoczesne i śmiało rozwiązania. Tymczasem najczęściej odwołują się do stereotypów i sztam, do

— Co jeszcze nowego w waszej działalności?

— Członkostwo zbiorowe. Zbiera się grupa młodzieży i lider zgłasza ją do ZSMP. Grupa może należeć do naszej organizacji i korzystać z naszych ofert na równi z członkami indywidualnymi. Tym sposobem może pozyskamy młodzież nieaktywną, lub dotychczas nam przeciwną, może nawet tzw. grupy nieformalne? Może uda się z czasem zatrzymać tych, którzy wyjeżdżają za granicę? Będziemy robić wszystko, by poprawić warunki pracy i uatrakcyjnić egzystencję młodzieży.

— Coraz rzadziej zakładacie czerwone krawaty.

— Członkowie nie chcą ich nosić. Wstydzą się, a może się boją wyróżniać w ten sposób od otoczenia? Czerwony krawat stwarza niewidzialną zaporę między ZSMP, a młodzieżą nie należącą do związku. Niechaj więc pozostanie symbolem. Szanowanym i cenionym, ale już częściowo w tradycji i historii.

— Sztandary, legitymacje w oryginałach i kserokopiach, broszury „Nasze koło pracy”, „Nasze koło śpiewa”, fotografie z czasów ZMP oraz ZMS i ZMW, szkoda tylko, że bez podpisów i dat. Podobna mi się wasza mała salka muzealna. Czy tylko tyle zostało z tych lat?

— Wchodzę tu czasem, by popatrzeć na postacie młodych ludzi z tamtych czasów, tak niepodobne do dzisiejszych dwudziesto i trzydziestolatków. Tamci powinni być dla nas wzorcami. Dlaczego dziś tak trudno ich dostrzec?

— Należy pan do pokolenia, o którym mówimy. Proszę wyznać szczerze, co pana najbardziej razi u ludzi starszych?

— Głosowość, niedotrzymywanie zobowiązań, deklaracje, obietnice i potem nic. Brak konsekwencji. Pozorność, sztuczność. Prześlizgiwanie się po sprawach trudnych, przemilczanie spraw niewygodnych. Nie liczenie się ze zdaniem osób młodszych i mniej doświadczonych, ale także mających własny punkt widzenia.

— Bariery na drodze życiowej młodego człowieka. Pomówmy teraz o nich.

— Coż tu mówić? Właśnie mówię się za dużo, a za mało robi. Stoją — te bariery, na każdym kroku! Uniemożliwiają lub opóźniają realizację zwykłych życiowych zamierzeń, nie mówiąc już o wielkich ambicjach. Utrudniają życie osobiste. Młody człowiek rzadko może liczyć na awans, a najlepsze lata marnuje na mozolne zdobywanie środków do życia. Zmiana pokoleń to tylko puste słowa.

— Więcej młodzi ludzie wykonują pod ręką prace, by tylko wyżyć, ponieważ starsi ich nie dopuszczają?

— Chcę tylko powiedzieć, że pokolenie 25-35 latków jest niewykorzystane. Mamy pomysły powołania „szkoły menażerów”. Być może uruchomimy ją wkrótce w Łagowie, wspólnie z poznańską organizacją ZSMP. Pierwszy eksperymentalny kurs chyba już od 1 maja. Absolwenci będą potem startować w konkursach na stanowiska kierownicze.

— Czego pan życzy sobie, swoim współpracownikom i członkom Związku?

— Abyśmy potrafili znaleźć się w przeobrażeniach, jakie przechodzi nasz kraj, poprzez swoje ognia podstawowe zachowali konkretność, rzetelność i wysoką moralność, do końca otrzaskali się z biurokracją i sztywnością, a w zamian uzyskali ów pozytywny „luz”, pozwalający rozwijać zamiłowania i spełniać aspiracje. Aby z naszych zamierzeń nie zostały tylko zapisy i aby nasze cele zaoprobowała cała młodzież. Wszystkim członkom ZSMP życzę wytrwałości i satysfakcji z pracy.

— Dziękując za rozmowę przytożę cytaty z deklaracji ideowo-programowej ZSMP, widniejącej na ścianie w naszej salki muzealnej i pomimo upływu lat, jakże wciąż aktualny: „Jesteśmy młodym pokoleniem Polski, które swoją wiedzę, zapal i zdolności móż zasto-sować w twórczej pracy dla narodu”.

(...) Zagadnął mnie w towarzystwie kogoś na temat Jerzego Trębickiego (pseudonim), aktora skazanego na 25 lat więzienia za udział w morderstwie (...). Włączył się Krzysztof Zanussi mówiąc cicho, że może bym nie pożałował, gdybym chciał „przerzucić”, jak się wyraził, otrzymaną z więzienia, napisaną za kratkami, „ogromny niesety” rękopis (...). No i okazało się, że literatura nasza ma swoje, nieujawnione tajemnice! Utwór to niezwykły (...). Ma tytuł „przejrzysty i treści zmagającą, nierówną, fascynującą. Oto człowiek spowiada się ze sprawy swojego życia (...) Bardzo nie lubię wątków homoseksualnych w literaturze (...) Tu po raz pierwszy przeczynałem z tej strefy przejmującego utworu o miłości (...) Przejmujące studium ludzkiego dna (...).

Z przedmowy Romana Bratnego

Łomotnęło coś w drzwi. „Spacer... spacer... spacer... spacer...”. Głos kłajfusa walącego pięściami w kolejne drzwi cel odbiegał gdzieś hen w koniec korytarza. Był już dziesięć metrów od nas. Teraz ze dwa, dziesięć... Trzydzieści... Pięćdziesiąt... Nasza cela znajdowała się w środku stumetrowego korytarza o kamiennej posadzce z dziesiątkami kłitek.

— Ja nie idę na spacer — szepnął do mnie Książę. — Zostań też — dodał dziwnie patrząc.

— Po co? — zapytałem dość głośno. — No chyba wiesz... — szepnął tamten. — Mam cholerne braki. Tyle lat bez kobiet. Mogłbyś pójść mi na rękę... — musnął wargami moje ucho, aż mnie niemilo załaskotało. Rozejrzałem się wściekły. Tamci trzej wciągnęli buty niby na nas nie patrząc. Ale mogli coś słyszeć... Oczy zaszyły mi łzami. Może z chloru wypanego niedawno do kibla, w który jeden z lokatorów sikał w pospłechu?

— Ja idę na spacer. A ty jak uważasz — syknął. Wtedy Książę wionął mi w ucho: — Zostań, proszę cię...

Spojrzałem na niego wściekły. Na siedmiu metrach kwadratowych celi nawet szept nie dawał się ukryć. Poszedłem na ten spacer. Książę też...

(...) Ma dwadzieścia pięć lat życia — z czego, sześć siedzi — i trochę zniszczoną urodę pięknego watażki kozackiego. Teraz kończy wyrok więzienny: półtora roku za walnięcie strażnika stołkiem. Na moje pytanie, za co tamte sześć lat — parska śmiechem... Skończył pięć klas podstawówki, ale umysł ma prawie geniusza. Temperament ogiera. Błysnął w biegu złym niebieskim spojrzeniem o czarnych, nie-ludsko długich rzęsach i już tnie nożykiem z puszeki po konserwie zdjęcia kobiet ze starej gazety. Jedna młoda, ma nogi w białych pończochach i wypięty tyłek. Z zadka towarzyszącego jej buldoga sterczy ogon jak kołek.

— Wyjdę z kicia to i psa wydymam — warczy Książę. — Szóstak pierdla robi swoje. Przekonasz się, Jakub! — Co mówiąc przykleił wycięte zdjęcie do ściany i rzuciwszy się na łóżko ogłosił tubalnie „godzinę policyjną”... Reszta więźniów odwróciła się... Gdy zapiał rozporok, poczęł gnieść z policzków węgry narzekając, że kryminał popsuł mu cere.

— Albo nie. Po wyjściu wpięrw idę do kosmetyczki. Dymam potem — decyduje wpatrzony w złamane lustro.

(...) Chudy wyrostek siedzi cichutko na stołku ze wzrokiem pełnym szacunku utkwionym w starszego kolegę — „ziomala”.

— Nielat był, dlatego „krawat” go ominął — informuje mnie Książę chodząc trzy kroki, od drzwi do okna. — Wpadł do ciotki po dychę na kino. Koleżka czekał na dole. Ciotka nie chciała dać forsy, więc zatlukł ją walikiem od ciasta. Znalazł dwie dychy w woreczku i wyrwał jej z uszu kołczyki. Strzępy mięsa na nich spostrzegli, gdy je sprzedawali na bazarze.

— Przed bazarem — prostuje grzecznie małolat stryżący cały czas uchem, czy aby słowa Księcia zgadzają się z faktami.

— Wyjdzie za dwadzieścia trzy lata — pokreślił Książę głową. — Co te sądy robią z ludźmi. Sam Kuba powiedz!

Na wszelki wypadek westchnął. Chłopak był wyrodniałcem?... Ciotka pocziwiała osobą? Jednak cierpi on. No, ale...

— Nawet dziecięcina porucha nie zdążył, a ma czym, zobaczysz Kuba w łazni — prze-waża Książę szale nieprawdliwości... — Było, skurwysynu, ukrasie na to kino! Będziemy go pilnować razem, żeby konia ciągle nie walił. Dobrze, Kuba? — wyciąga ku mnie dłoń i cofa ją śpiesznie... — Bo szczeniak wykończy się na tym litrażu... Lecz centymetry się nie liczą — podnosi dumnie głowę. — U nas na szczenińskich gliniankach chłopakom ch... dyna! do kolana, a dziewczyny najwięcej garnęły się do mnie. Taką Dankę rąbało sześciu pod rząd, a mnie wychwalała najbardziej.

Utwierdzony w swojej technicznej sprawności Książę wali małolata w ramię. Ten spada ze stołka.

— Jeśli nie lizales p... Małolat, nie je... cwela czy nie piliś denaturatu, to nie jesteś rycerz — mruczy Książę tatuując teraz tamtemu diabla na lewym ramieniu. Młodzik lyka lży z miną Indianina przy palu męczącym. Książę ma ręce czerwone od krwi. Chciałbym je uściśnąć. Wyłącznie z przekozy. Więc dostać wyrok za cwela to niczym rycerskie ostrogi za krucjatę do Ziemi Świętej?... Ale gdy usłyszałem od Księcia, że co odsiaduje on swoje sześć lat, zachwiała się pode mną podłoga! Jego ofiarą był siedemnastoletni syn więziennego strażnika! Gwałt odbył się w parku — „do buzi” — podobno za namową gwałconego, który także obsłużył kolegę Księcia. Obydwaj złodzieje poczytali to sobie, zdaje się, za czyn polityczny...

Potem w czasie swego śledztwa Książę zakochał się w ślicznym, drobnym więźniu śledczym — nastolatku z białym kołnierzykiem, włożonym na obcisły sweter. On sam duży i brutalny, został aresztowany i skazany w okresie późniejszego dojrzewania, a więc wystawiał z celi co dwa tygodnie przecieradło aż sztywno z żąd upłynianych przez całe noce. Lecz nadal niewzruszony wciśniętą twarz pomiędzy kraty okna i pożerał wzrokiem ślicznego młodzika, który chodził po odległym spacerniku raz dziennie. Kochał cwela czy chłopaków-frajerów kodeks grypsujących nie bro-nił swoim wynazwcom.

A więc całą dobę Książę czekał na te kilkanaście minut spaceru swojego ukochanego.

Tym żył. Gdy mi to teraz mówił — „dziłgając” na ciele Małolata twarz diabła — minęło pięć lat od jego cierpień miłosnych, a zdawało mi się, że ciągle kocha tamtego. Tak pamiętał każdy gest ślicznego chłopca w białym kołnierzyku: odrzucenie przez niego złotych lśniących kędziorów drobnymi rączkami i jak potem zaciska piastki. Z rozpacz?... Jaki groził mu wyrok? Kim w ogóle był? Książę nie dowiedział się tego. Nie dotykał chłopca nawet tym, czym „rycerzowi” wolno. Nigdy nie mówił ze sobą. Teraz najszybciej opowiadał o swojej miłości, wciągając w skrawione ciało Małolata tusz z długopisu, by utrwalić tatuaż na zawsze... Wilgotniał zimny błękit jego oczu, jakby zlodowacenie, które utwardzało go tu stałe całego, topiło mu się pod wpływem tych wspomnień.

— A gdybyś tak tego chłopca... no, zdobył... Co potem? — zapytał Księcia bojaźliwie, jakby stał pod bardzo kruchym, lodzie z głębiną pod spodem; niebezpieczną, a przecież kuszącą.

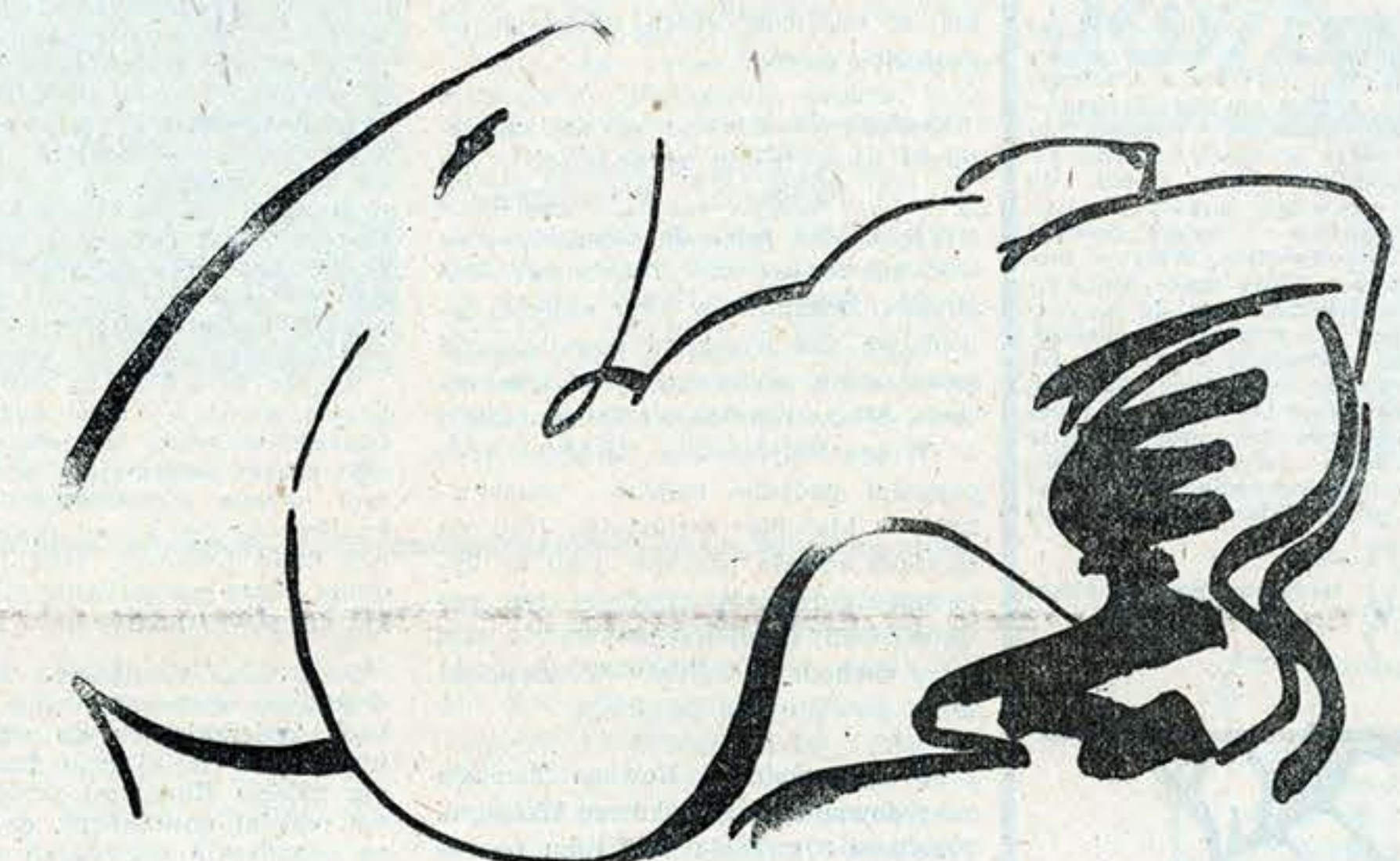
— Co potem? — uśmiechnął się w rozmazaniu Książę. — Potem kibel by szorował — stwierdził mi nie mniej czule.

— Taki przedtem uwielbiany? Mogłby nie chcieć szorować.

— Tobym cwela walił dechą! — Namietność w Księcia głowie, chociaż była jak ukrop, przeniknęła mnie mrozem... Nie chciałem pytać, czy przed zwałowaniem ślicznego młodzika Książę nie zapragnąłby dotknąć jego głębkich pleców policzkiem — wbrew kodeksowi. By go potem obrócić do siebie i zagarnąć, la-

Zbrodnia I...

Jerzy Trębicki



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

miąc kodeks zupełnie?... Eee, skądże! Książę brzydził się męską płcią. Jego wolnościowy romans z piosenkarzem — co też Książę wyzna mi z czasem — był wyłącznie przypadkiem...

(...) Za trzy dni przeniesiono mnie na skrzydło „C” do obszerniejszej i widniejszej celi, gdzie było trzech więźniów: Agnieszka, starszy wiekiem aferowicz od stu ton „nadwyżek” kielbasy — upłynionych na lewo z jednego średniego sklepu przez rok — i Zagiel... „człowiek”, a z wyroku włamywacz do „Jubile-ra”. Skwapliwie pochwalilem mu się swoją przyjaźnią z Księciem.

(...) — Na wolności ja miał dwie służące. Agnieszka był tam pan — gada więzień-cwel rozsiedzając się na zakrytym kiblu. Lecz dostaje od Zagla kopniaka i uporządkowawszy łóżko bierze się za mycie. Podobno zarasta brudem, by odstręczyć małolatów. Dziwi mnie „jej” powodzenie. Śmierdzi i ma około pięćdziesiątki! Aferowicz od mięsa rozkłada sobie domino do wróżby.

— Kiedyś dano do celi tej parówy jednego kata na cwela — mówi Zagiel znad skrawka gazety. — Widząc go z pierdoloną rurą, Agnieszka, krzyknęła: „Tu też żeś mnie znalazł! Jezus Nazareński!” I zaczęła się myć. — Zagiel ogląda chłupać się nad miednicą Agnieszki jak wiesz na grzebieniu. — „Ludzie” dostali za prostytutkę wyroki. — Kiwa się na stołku. Ja w duchu oburzam się na tamten gwałt ze znęcaniem się nad nieszczęsną istotą. Siną podobno wtedy z bicia... Miednica co-raz bardziej czernieje od błota...

— Dam ci dupci, jak mi dasz pecika — przy-mila się do Zagla nieco przejaśniała od mydła Agnieszka i klepie się oblesnie w swój malpli zad. Zagiel unosi się spokojnie.

— Zdejmuj portki — mówi do Agnieszki z rzadką łagodnością i rozpina rozporok... Gdy ona wsparta rękami o kibel wypina goły tyłek, Zagiel łapie za stojącą w rogu deseczkę od kibla i wali nią z całej siły w rózowy i wielki zad Agnieszki przęgięty jak u małp-luda. Ta skamie z bólu, lecz się nie odchyła, więc Zagiel z bezlitosnym spojrzeniem wali ją raz za razem. Nagle Agnieszka zasłania tyłek kostropatą ręką, na której wykwiła w sekundę krwawa wybroczyna.

— Daj jej spokój, Zagiel — mówię nieśmiało dopiero wtedy, bo jednak ten „człowiek” je ze mną przy stole. Stary aferowicz, który też się z tego puszy, również przywlewa ręką w wypięty goły zad Agnieszki, po czym za moim przykładem daje jej na kolację kromkę ze swojego chleba.

(...) W poszatkowanym kratami bladym świetle prześwitu przyglądam się spod koca tumanowi kurzu drzącemu mimo spokojnych oddechów dziewczęciu śpiących złodziei. Gdy wsta-ną, kłęby drobin z dziewczęciu wytartych de-

rek zagęszczają całkiem powietrze. Jak co dzień. Ale w ścisłości i ruchu tyłu mężczyzny mijają-cych się z trudem na skąpej powierzchni o zdrowiu się nie myśli. Nawet o latach wyroku rzadko...

(...) — Martwienie się nic nie da, Kuba — powiedziałem w cieniu lampy z amorem? Czy w karetce więziennej? Popatrzyłem na ciebie z niedowierzaniem. Rozjarzyłeś mi się, Andrzej, pysznym blaskiem swoich osiemnastu lat. Z czego sześć złodziejskich i jeszcze gorszych... odbiło cię na twojej młodej i chłodnej skó-rze. Dlatego kusilo mnie, aby oprzeć rozpalone czoło na twoim ramieniu... Jeżdżąc wzdłuż Wisły na paschę do „Ponderozy” czasami uda-wało mi się namówić cię, byśmy zbeczyli na kilka minut. Kumkały w szuwarach wilgotne, śliskie żaby... Jasnozielone... Belmundo wydaje mi się szczytem prymitywu i chamstwa. Czy na pewno jest taki? Ty leżąc na rozłożonym siedzeniu miałeś lunę na policzkach różową jak jutrenka. I zapocił ci się błękit oczu. Pociem-niał?... Żeby ci białeły, chociaż nie uśmiecha-leś się... Ogarniała mnie tliłość, gdy cię za-garniałem wśród zwierzęcych pomruków i chrzęstu skaju. Miałeś tyle zdziżalonego uroku pachnącego ostro. Narkotyzowałem się twoim oddechem.

carskiej Rosji przez rewolucję lud rozszarpał, bo mieli na oko pańskie ręce.

— A kolegów lubiles? — uśmiecha się wre-szczę, bo choćby mnie zdradził, jest tu dla mnie jedynym bliskim człowiekiem.

— Lubilem — zwraca ku mnie oczy tak szczerze aż wstrząsnął mną dreszcz. — Wszy-scy siedzą... Czy ty wiesz, że sporo dziewczyn z poprawczaka było nie dymanych? Choć już piętnasto- i szesnastoletnie. Kłamałem takie... Roz-prawczałem je, bo się prosity. Potem gadały o mnie jedna drugiej i lały z tym jak do den-tysty. Sam mieszkalem. Raz dziewczyna mi o-powiedziała swe życie. Jakub! Plakałem aż, takie było smutne. Rodzice alkoholiki. Ona wie-cznie bita i głodna. Niełatwa w złodziei-stwie, bo stała po komendach, izbach dziecka, zakładach poprawczych. Pamiętam, w neono-wym świetle latarni zza mojego okna miała skórę jak atlas z koldry. Leżałem jej twarzą w cykach i drżałem z tego placzu. Ona też drżała. Knot stał mi z wódki na okragło, więc ją dymałem po świt bez wyjścia. Cały czas z placzem. Wreszcie wczesne słonko lechtało mi plecy. Ona jęczała, kiedy krańcowała. Nie zli-czę, ile jej wałnęłem sztosów. Mnie lzy ciekły bez ustanku. Obojgu nam. Nie tyle chciało mi się ją j... ile dać jej coś lepszego niż to smu-tne życie, które miała... Zszedłem z niej w po-ludnie i zaraz mi zbryzdała...

(...) Słucham więźniów gadających o amne-stii. W całym kryminale aż o niej huczy. Jak co roku przed 22 lipca (...).

— Kiedy wreszcie nas te kurwy wypuszczą — wyrzeka Stasiek, czy raczej wyrzekał, bo już go nie ma... Dla mnie jest. — Porznię się i będą mieli — mruczy znad cerowanej skar-pety. Nie drgnął ani jedną rzęsą, ale w ser-cu mnie zakłóło. Ile mnie czeka co roku bez-sensownych nadziei, że mi coś z tych 25 lat ujmą...?

— Naostrzę kosę. Zrobisz sznycę i mnie — nadstawia Icek Staśkowi swoje chude przed-ramię z dziesiątkiem bladych szram. — To nie boli — szczerzy pełnię swych zadziwiająco kształtnych zębów. — Na małowatce jeden cy-cek prosił, bym go chlasnął przez rękę. Mojki był kawałek wyszczerbiony. Rzucałem paski skóry z policzka cycka do kibla. Zaklinał się, że dla-tego płacze, bo sól z łez mu gryzie ranę. Cha-chałem się tylko.

— Ja mam na to za wrażliwe serce — wy-krzywia się śmiesznie Stasiek. — Byłem na ma-lowatce korytarzowym — zasada się do wspo-mnień z drugiej strony drzwi. — I raz dzwo-nią z celi, że się jeden pochlastał. Lipuję. Faktycznie. Chłopczyźnie rozstąpiła się na brzuchu czterocentymetrowa p... a spodem widać blon-kę i flaki. Więc proszę strażnika o koce. A ten drze mordę: „Musiał się skurwysyn pochlastać, kiedy słucham meczu? Niech sam idzie do le-karza”. Chwiał się szczeniakiem, ale lał. Ja za nim ścierałem krew z posadzki. W gabinecie ko-nował ledwie zerknął na ranę i gada do siostry: — „Nie zeszywamy. Chciał sznycę, to niech ma”. Zakleila mu ranę plasterem i obandażo-wała. Za trzy dni lipuję, a chłopaczyna się napier-dała pod celą. Piątego dnia dostał z domu ra-kietę. Boczu było z kilo. To sukisyn okroił skórę, upchał ją zrolowaną między kaloryfery i dymał w żeberka. Brzuch mu się jakoś nie roztworzył, lecz ch... miał potem czerwonego jak po wrzasku i obtarł. Więc zapisał się do konowala. Przyjmowała akurat ta płucna. O-bejrzała dokładnie. A śmiesznie mu knot węd-zonką aż przez drzwi gabinetu. Ale brzuch mu się zrosł (...).

Chichla zagaduje Władka z powagą o jego sprawę sądową. Do nas robi oko, że Władzio jest głupol (...).

— Mów wszystko jak było — rzucił z dys-krętnym rechem do nas i szacunkiem do Wła-dzia.

— Pojechalim do niej i mówię jej „wsia-daj”...

— A ona? — dopinguje Chichla.

— Ona mówi: „Nie, bo ja was nie znam”.

— A ty? — Chichla ma teraz twarz gnoma.

— „Ch... ci w dupę” — ja jej na to, po czym pojechałem do wiejskiego klubu. Tam też żeś-my bez rozróbki. Tylko drzwi nogą otwarłem. No bo jak to? Przyjechali panowie z Warsza-wy, zaś tu klub zamknięty? Lecz bez pań nie zabawa. No to żeśmy wyszli. Patrzę: ona do nas wraca. To wzielim ją na przejażdżkę. Skąd my mogli wiedzieć, że ona ma kocią p... Stwier-dzoną przez Sąd w aktach. Popilim. Picie było. Bo jakiegoś zapierdolił ten wóz, tośmy potem je... w wystawie sklepową, wzięli sześć win i uciekli... Ona się ruchała po dobroci. A nas da-ła, gdyż ją namówiła milicja. I im naszeczeka-ła w komisariacie kłamstw... Spuściłem jej się w rękę, to pierwszy rzut wypuła, ale że ten to-war leciał dalej, to resztę zezarla z chęci. I jaja mi lizala na siłę. Ja w ogóle nie chcia-łem, bo mam łaskotki... W Sądzie na naszą ko-rzyść nic nie pamiętała. Na przykład w jakiej pozie ją pier... Pyta kurwę Sąd, czy zdolna by-ła do stosunku. To mówi, że tak. A niepraw-da: w kocią p... knota nie wsadziła. „Czy oskar-żeni byli zdolni?” — Sąd pyta. Tego nie ro-zumie. Ale prokurator zapytał, czy sztywne członki mieli. To gada, że sztywne. Ze nam dała swój domowy adres w czasie tego je... To Sąd tłumaczy?... iż na tym le poniekąd trud-no domniemywać jakiegoś carte blanche ze strony pokrzywdzonej... Może Sądowi szło o zegarek, co jej Gienek pierdolił? Nie wiem. Potem ona mówi Sądowi, że się bała, bo nas było pięciu. Siłą w rękę nie wyj...sz. Wiadomo. Czyli przymusu nie było. A teraz zapierdalał dwunastka. Braciśzek osiem (...) I dwadzieścia tysięcy mamy jej płacić za szkody moralne? Choć przynależała na sprawie, że się lepiej uczy po tym niby gwałcie (...) A wiesz, co ten, kur-wa, prokurator uznał za szczególnie okrucień-stwo? Stosunek w mordę. Od kiedy instrument dęty, czyli klarnet jest narzędziem zbrodni?...

Jerzy Trębicki „Zbrodnia I...” (fragmenty) Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988 r.

Dziwni i zwariowani

Ekran zaludniają dziwne i tajemnicze postacie: prostytutki, pederasty, arystokraci, artyści, zakonnice. Ta zbieranina spotyka się, by wznosić wspólny śpiew na cześć pięknej świętej. Jest nią, a może była — bowiem teraz nieżyje — kobieta nazwiskiem Francesca Aramonte. Nie wiadomo jednak, czy postać ta nie jest tylko fikcją. Wszyscy opowiadają o Francescie: stara hrabina von Ammersberg, nauczycielka tańca Grujński, transwestyta Tito i siostry z klasztoru imienia Marii Ruh. Mówią o jej fascynującej urodzie i niebywałym wdzięku. Francesca w opowiadaniach tych dziwnych ludzi, to dziecko szczęścia, aktorka i tancerka, wspaniała przyjaciółka i cudowna kochanka.

Film jest tak skonstruowany, że widz od początku wątpi w istnienie tytułowej postaci. Jej imię jest raczej czarodziejskim zaklęciem, które łączy te wszystkie zwariowane indywidua oraz ich losy. I do końca nie wiadomo, co jest tu prawdą, a co fikcją...

Pierwszy kinowy film Vereny Rudolph nawiązuje nieodparcie podobieństwa do obrazów Felliniego. Nakręcony został w RFN z udziałem realizatorów i autorów włoskich i zachodniemiejskich. Grają: Eva Lissa, Bernhard Wosien, Dorothea Neff, Bernhard Minetti i inni. Tytuł „Francesca”.

Film o dziennikarce

Reporterska telewizyjna Christy Collier jest gwiazdą chicagowskiej stacji kablowej TV i kobietą niezwykłą. Niczego się nie boi. Jest dziennikarką przebojową. Wśród kolegów ma opinię takiej, którą posiada się „tam, gdzie diabeł nie może”. Przychodzi jednak dzień, w którym Christy, młoda jeszcze i piękna, ma dość tej nerwowej pracy. Chce mieć spokojny dom, być gospodynią i żyć wreszcie jak normalna kobieta.

Ale nagle wybucha skandal! Pewien człowiek ma być wysłany na krzesło elektryczne, podczas gdy miejsce to — o czym, Christy wie — powinien zająć

kto inny. W skandal jest wzięta... osobistość ze „świecznika”: polityk o znanym nazwisku. Christy odsuwa swe marzenia o spokojnym domu — i raz jeszcze rzuca się w wir wydarzeń, podejmując walkę o sprawiedliwość i prawdę. Walka jest nierówna. Christy po raz któryś zapewne przekonuje się, że w tym świecie prawda jest tylko towarem, który można kupić i sprzedać. Historia ta sfilmowana była wcześniej przez Howarda Hawksa i Billy Wildera. Przypomina ją po latach reżyser Ted Kotcheff przy udziale sławnych gwiazd amerykańskiego kina. W roli reporterki występuje Kathleen Turner, którą w polskich kinach oglądaliśmy w filmach „Peggy Sue wyszła za mąż” i „Krokiodyl, miłość i szmaragdy” z Michałem Douglasem, a która na Zachodzie podziwiana jest zwłaszcza za przewrotną rolę w skandalizującym filmie „China Blue”. Obok niej Christopher Reeve — bohater kolejnych obrazów z cyklu „Superman” oraz Burt Reynolds, uosobienie męskości. Tytuł oryginalny: „Swinning Channels”.



Madonna w roli Karen w sztuce „Speed-the Plow” na Broadwayu w Nowym Jorku w 1988 r.

Ten straszny raj

Czym jest Ameryka: rajem czy piekłem? Pytanie to zadaje sobie zamieszkały od kilku lat w Nowym Jorku młody Anglik Henderson Dore. Henderson nie umie odnaleźć się w tym miejskim molochu. Wszystko go tutaj dziwi, wsty skłonił się przejmując.

Pewnego dnia trafia na prowincję. Ma tu spotkanie z pewnym nieznajomym. Jest czas po północy. To dla Hendersona „najgorszy czas”. Niespodziewanie zostaje on terroryzowany, uprowadzony i pobity, traci pracę, pieniądze, nawet ubranie, które miał na sobie... Biegając nago po ulicy, zna już odpowiedź na pytanie, które sobie zadawał. Wie, że jego Ameryka, to jeden wielki horror...

Reżyser Pat O'Connor zrecenzje skonstruował akcję i naszpikował ją „momentami”. Wystarczy, by się Ameryki wystraszyć i wybiec o niej marzeń. Grają: Daniel Day Lewis, Harry Dean Stanton i inni. Oryginalny tytuł: „Stars and Bars”.

Pogoń za fantomem

Julien budzi się z silnym biciem serca. Miał szczególny sen. Snio mu się morderstwo, w czasie którego odczuwał wielką przyjemność. Wychodzi z domu i myśli tylko o jednym, żeby przeżyć coś podobnego. W metrze dostrzega nagłe postać ze swego snu. Biegnie za nią usiłując dogonić... Błądzi pasażami, potem krętymi uliczkami starego Paryża. Czy zdaje sobie sprawę, że goni fantom? A to, co oglądamy, jest snem Juliana, czy może snem jest sam Julien?

Labirynt ciemnych uliczek i ścież ludzkich spojrzeń. Dzielnice, w których królują zło i występki. Sceneria niczym z Kafki i Hitchcocka razem wziętych. Nastroj — jak w niesamowitej opowieści „Dr. Jackyll i Mr. Hyde”.

Film ten, przedstawiający obsesję mężczyzny, zrealizowała kobieta. Nina Grosse ma 29 lat, jest absolwentką szkoły filmowej w Monachium i ponoć nadzieją młodego niemieckiego kina. Tytuł filmu „Szkłane niebo” wzięty od przezroczystych dachów, pokrywających paryskie pałace. Główną rolę gra dawno u nas niewidziany Helmut Berger, pamiętny odtwórca tytułowej roli w serialu „Ludwig” oraz roli młodego homoseksualisty w głośnym filmie Viscontiego „Zmierzch bogów”. Obok niego Sylvie Orler, Tobias Engel i inni.

EWA

camera filatelistica

Od ponad trzydziestu lat na europejskim, ale nie tylko, rynku filatelistycznym pojawiają się znaczki z napisem „REPUBLIK MALUKU SELATAN”.

Po II wojnie światowej, kiedy rozpoczął się proces dekolonizacji i powstawania nowych państw w 1949 r. utworzone zostały Stany Zjednoczone Indonezji, przekształcone w 1950 r. w Republikę Indonezyjską. Władze centralne (islamskie) miały wówczas poważne trudności ze scalaniem poszczególnych terytoriów w jeden organizm państwowy. Działali one bowiem na blisko 3.000 wysp. Na Morzu Banda, na wyspach Ambon i Seram w archipelagu Moluki mieszkająca tam ludność chrześcijańska nie mogła się pogodzić z islamskim rządem i powołała nie bez wsparcia holenderskich mocodawców Republikę Maluku Selatan Państwo to nie długo cieszyło się swoją samodzielną. Okręty wojenne Indonezji zbombardowały główne porty i opanowały obie wyspy. W Europie czy Ameryce nikt nie zakwestionował decyzji rządu Indonezji. Jedyną papież wezwał wiernych do zbiórki pieniędzy dla ofiar strasznego bombardowania. Wielu mieszkańców Ambon i Seram uciekło do Holandii sądząc, że tu znajdą pomoc w odzyskaniu samodzielnosci państwowej. Niestety, Holandia nie wsparła indonezyjskich separatystów, a tylko udzieliła im prawa pobytu. Do dzisiejszego dnia radykalne grupy młodzieży ambonezyjskiej podnoszą kwestię samodzielnosci państwowej,

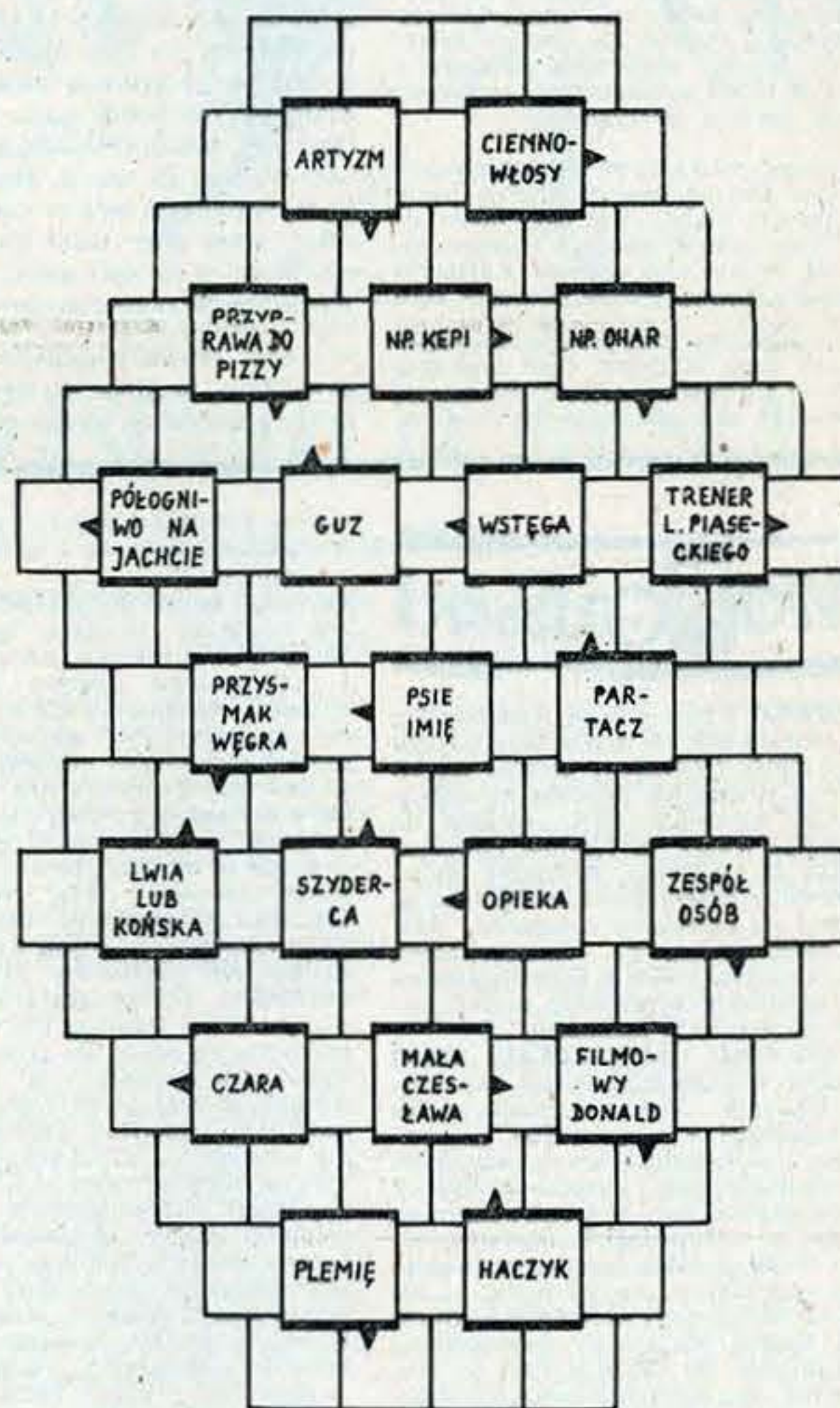
przypominając o tragicznych losach Republiki Maluku Selatan.

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy tragedia Maluku Selatan częstokroć była omawiana w prasie i radia, w Wiedeńskiej Drukarni Państwowej na zlecenie poważnej firmy filatelistycznej USA wydrukowano wiele różnych rodzajów znaczków z napisem „Republik Maluku Selatan”. Znaczki oczywiście w większości o motywach przyrodniczych i innych bardzo chodliwych szybko pojawiły się w sklepach (1954 r.) i znalazły nabywców. I dopiero kiedy zbieracze zaczęli domagać się wyjaśnień, gdzie znajduje się republika Maluku Selatan, jaki jest adres jej administracji pocztowej, okazało się, że żadnego państwa o tej nazwie nie ma, że znaczki te są po prostu wydawnictwami fantazyjnymi, obliczonymi na naiwnych nabywców, którzy ułokowali w nich swoje oszczędności. Sprytny przedsiębiorca filatelistyczny dostatecznie obłowił się na tej transakcji. Tak to już jest w świecie biznesu, że nawet na tragedii ludzkiej można zbić znaczną fortunę.

„Znaczki” Maluku Selatan dotarły również do Polski i można je jeszcze spotkać wśród ofert filatelistycznych na różnych jarmarkach i targach staroci. Należy jednak pamiętać, że są to wydania fantazyjne, które nigdy nie miały żadnej mocy obiegowej na żadnym terytorium. Wydrukowane zostały tylko dla wyłudzenia pieniędzy do zbieraczy.

M. SŁAWOMIR

Rozrywki umysłowe



WIROWKA
Oprac. Wiesław Piżewicz.
Zielonogórski Klub Szaradzystów
„Labrys”

W każdym wyrazie występuje przynajmniej jedno „cz”, „rz” lub „sz”. Kierunek

wpisywania wyrazów — prawoskrętny. Rozwiązania — wystarczy podać ile razy w diagramie występuje litera Z — prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji do 18 lutego br. Na kopercie prosimy nakleić zamieszczony obok kupon. Do wylosowania będą dwie nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE WIROWKI Z NR 1

Litera „S” występuje w diagramie 15 razy. Nagrody książkowe wylosowali: Maria Rudnicka, ul. Serbska w Zarach oraz Józef Wrona, ul. Królewska w Lublinie. Gratulujemy.



ATA

Muzykolandia

OFRA HAZA, 30-letnia orientalna piękność, czarnowłosa gwiazda piosenki w Izraelu (19 longplayów!) kontynuuje wielką karierę, rozpoczętą skromnie w wieku 13 lat w Hatikwa — ubokiej dzielnicy rodzinnego Tel Avivu, a XVIII-wieczna religia pieśń jemeńskich Żydów pt. „Im Nin'Alu” oraz podobne w nastroju utwory z płyty „Yemenite Songs” budzą w jej wykonaniu zachwyt słuchaczy młodych i starych.

„LADY PANK”, zespół któremu publicznosc polska dawno już przebaczyła pamiętne skandaliczne zachowanie na estradzie, przebywa obecnie w USA i znajduje się podobno w rozpływie (choć słyszałam, że jednak zamierza powrócić wiosną w pełnym składzie), co nas interesuje również z tej racji, że solistka „Lady Pank” jest dwukrotny uczestnik zielonogórskiego festiwalu Jan Pannawicz: w 1973 r. wystąpił jako 16-letni uczeń i klasy Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Olecku, w woj. białostockim (i zdobył szóstą — spośród ośmiu głównych nagród, wspólnie z przedstawicielką Radomia Marią Marciniak), a po ośmiu latach w 1981 r. na XVII wystąpił ponownie, jako żołnierz Warszawskiego Okręgu Wojskowego (już bez na grody).

SINEAD O'CONNOR, 22-letnia wokalistka irlandzka, która nie zaprzecza, że przed paru laty parokrotnie była za trzymana przez policję za kradzież w sklepach, dba zarówno o swoje osiągnięcia

nielą artystyczne (niedawno nagrała longplay pt. „The Lion And The Cobra” w wytwórni „Ensign Record”), jak też o reklamę — i to w sposób dla kobiety szczególnie goli sobie głowę na „zero”, dzięki czemu jest chyba jedyną w Europie lysą artystką na rockowych estradach.

ALEKSANDER ROSENBAUM, radziecki piosenkarz i kompozytor, odnosi triumfy na estradach zagranicznych (wystąpił ostatnio m.in. w Izraelu i Stanach Zjednoczonych), choć on sam (lyśka, wąsik, ubranie skromne i zwyczajne, w rękach gitara), a także jego piosenki (ballady, w których ogromnie ważny jest tekst!) nie przypominają współczesnych idoli i ich hitów; posiada on jednak — jak twierdzą ci, którzy mieli okazję oklaskiwac tego artystę — niezwykły dar skupiania na sobie uwagi i owego „czarowania” słuchaczy (podobnie to robi np. Bulat Okudźawa), przy czym warto dodać, że jedną z ballad Rosenbauma („... Miałem przyjaciela który zginął w Afganistanie”) parokrotnie już nadawały zachodnie radiostacje.

STING, bohater wtorkowego programu TV „Non stop kolor” 24 stycznia br. prowadzonego przez Wojciecha Manna, obecnie 38-letni, poza śpiewaniem, graniem (głównie na gitarze basowej), komponowaniem, pisaniem tekstów i zainteresowaniami pozartystycznymi (nurkowanie, podróże, zbieranie książek) jest, jakby to u nas określić, działaczem społecznym na skalę międzynarodową — i z tej racji został mianowany (obok Willy Brandta, Radjiva Ghandiego i Coazon Aquino) honorowym członkiem tzw. Rady Europejskiej, która stara się wpłynąć na zbliżenie Europy do krajów Trzeciego Świata i w efekcie na poprawę życia ludności tych krajów.

WHITNEY HUSTON, idąc śladem większości piosenkarzy o światowej sia

wie, za pośrednictwem swych menażerów podobno już od dość dawna rozglądała się za odpowiednim dla siebie scenariuszem filmowym, aż wreszcie znalazła coś nadającego się na wielki debiut: czarnoskóra amerykańska gwiazda piosenki lat 80-tych, zagra tytułową rolę w biograficznym filmie poświęconym czarnoskórej francuskiej gwiazdzie kabaretu z lat 20-tych — Josephine Baker (która wsiadła się również tym, że zaadoptowała i wychowywała kilkanaście sierot).

GEORGE MICHAEL, będący nieustannie przedmiotem plotek i domysłów tycających jego życia prywatnego, w ubiegłym roku gdy rozpoczął swe światowe tournée koncertami w Japonii (rodzinnym kraju swej pięknej narzeczonej, modelki, pokazującej się w teledyskach George'a), przysporzył tematowi prasie zajmujące się wiadomościami z showbiznesu: oto magazyn „News Of The World” zamieścił kilka zdjęć, wykonanych jeszcze w okresie istnienia grupy „Wham!”, na których George wraz z kolegami, w sytuacji całkiem prywatnej, występuje w... falbankach i innych damskich fatalaszkach; czyżby piękny i męski George cichaczem urządzał sobie całkiem serio takie maskarady, dla relaksu i „odreagowania”?

ELVIS PRESLEY, który, gdyby żył miałby dziś 54 lata, wciąż pozostaje „kingiem”, jedynym niekoronowanym królem muzyki rockowej naszych czasów i wciąż wzbudza emocje: kolejne rocznice jego urodzin gromadzą tłumy wielbicieli pod domem w Memphis, gdzie przyszedł na świat; a tymczasem ponad pół miliarda dolarów, które zostawił, czeka w banku, aż córka Lisa Maria osiągnie ustalony testamentem wiek (Lisa Maria poślubiła w ub. roku muzyka Danny'ego Keougha, spodziewa się dziecka i podobno już myśli o... rozwodzie).

nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — Pismo Lubuskiego Towarzystwa Kultury

Adres redakcji: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalina 13. I piętro oraz dla korespondencji: 65-938 Zielona Góra 4 skrytka pocztowa 40. Telefon: redaktor naczelny 708-35, z-ca red. naczelnego 39-13 oraz centrala 46-61 do 67 (dlaży telefony wewnętrzne). Telex 0432233. REDAGUJE KOLEGIUM: Halina Anksa-Skarbek, Janusz Koniusz (red. naczelną), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelnego), Wiesław Nodzyński, Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.). Korekta: Maria Fiedorowicz, Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska, WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 31. Centrala telefoniczna: 46-61 do 67. Dyrektor: Zbigniew Pietkiewicz, tel. 717-95. DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-076 Zielona Góra, ul. Reja

OGŁOSZENIA przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i zdjęć) nie zamówionych redakcją nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótności i zmian tytułów. K-20

Jego życie było również ucieczką przed wierzycielami. Tak naprawdę, to nie wiadomo, jak i kiedy zdoła stworzyć wielki fresk, dzięki któremu wszedł do historii. Sam był postacią z „Komedii ludzkiej”. W zachwycie patrzył w oczy pani Hańskiej, zaś w międzyczasie z podobnym zachwyceniem oglądał ukraińskie debry należące do pani Hańskiej. Widział je oczyma handlarza, jako towar na którym można zrobić pieniądze. Pani na Wierchowoni ocalała debry przed toporem używając cieniutkiej ironii: należy wybudować kanał, którym drewno zostanie spławione do Paryża.

Model życia dziewiętnastowiecznego artysty, głodnego, niedopiętego, mieszkającego na wygłębionym poddaszu, lub w wilgotnej i zagrybionej suterenie, bo są to naturalne warunki do tworzenia arcydzieł, ma szczęśliwą kontynuację w dwudziestowiecznej Polsce. Nasi najwybitniejsi, choćby Sienkiewicz, Kołomyjczak, Wyczółkowski, gdy ich twórczość była już poza szczytem, więc u schyłku, doczekiwali się prezentów od społeczeństwa. Nie stać ich było na zakup dworów za pieniądze uzyskane z tytułu twórczości.

Aby żyć jako tako, dwudziestowieczny polski artysta, również ten z międzywojnia, musiał mieć etat, tworzyć w czasie poza ósmioma godzinami pracy. Twórczość to było jego hobby. Ile powieści, dramatów, poematów, rzeźb, obrazów utraciła kultura polska, być może również światowa, bo poświęcono je na otarzu szkoły, urzędu, placówki dyplomatycznej, jest pytaniem bez odpowiedzi.

Ilu ludzi w dzisiejszej Polsce żyje bez etatu, z uprawiania swojej twórczości? Dwustu? trzystu? Góra: pięciuset? Kosztom jakich wyrzeczeń oni żyją? Przez ranożając małej liczbie polskich artystów udaje się jeść chleb z ręki Apollina. Jest wśród nich, jedyny w Zielonogórsku pisarz bez etatu, którego legitymacją tworzącą są ambicje książki. Ma kłopoty materialne związane z kupnem biletu autobusowego, nabyciem paczki papieru maszynowego.

Kultura polska żywi się hobbystami. Zamiast zbierać znaczki, ludzie piszą, komponują, malują. Bez bazy materialnej jaką buduje posiadka, tworzyć się nie da. Pensja plus dochody z twórczości do niedawna jeszcze tworzyły jako takie warunki do życia godziwego artysty i humanisty. Dziś już to nie wystarcza. Co robią studenci? Cykl zrywania owoców z drzewka mądrości starają się przedłużyć w nieskończoność. Czas po-

święcają sprzątaniu peronów, pociągów, myciu okien w halach fabrycznych. Cybernetycy pilnowali do niedawna po sad recepcjonistów w hotelach i placach w szatniach. Dziś też pilnują, angażując złote szare komórki w organizację punktu napraw parasoli, łapanie oczek w pończochach, przyszywanie guzików, pieczenie kurcząt.

Materialna degeneracja współczesnej naszej inteligencji jest faktem. Wyrazem instynktu samozachowawczego jest szukanie sposobu na wyjście z owej degeneracji. Jeszcze niedawno była to chałtura w ramach profesji. Hu maniści wiskali publiczności nikomu niepotrzebne kompilacje. Literaci jeździli do klubów wiejskich po pieczątki. Plastycy ukrzyżowali się na ślepych ścianach pacykując pracowicie „Oszoce obok w PK...”. Dziś, obok etatu, chałtury, hobby, trzeba jeszcze umieć łapać oczka w pończochach, suszyć grzyby, lub zioła.

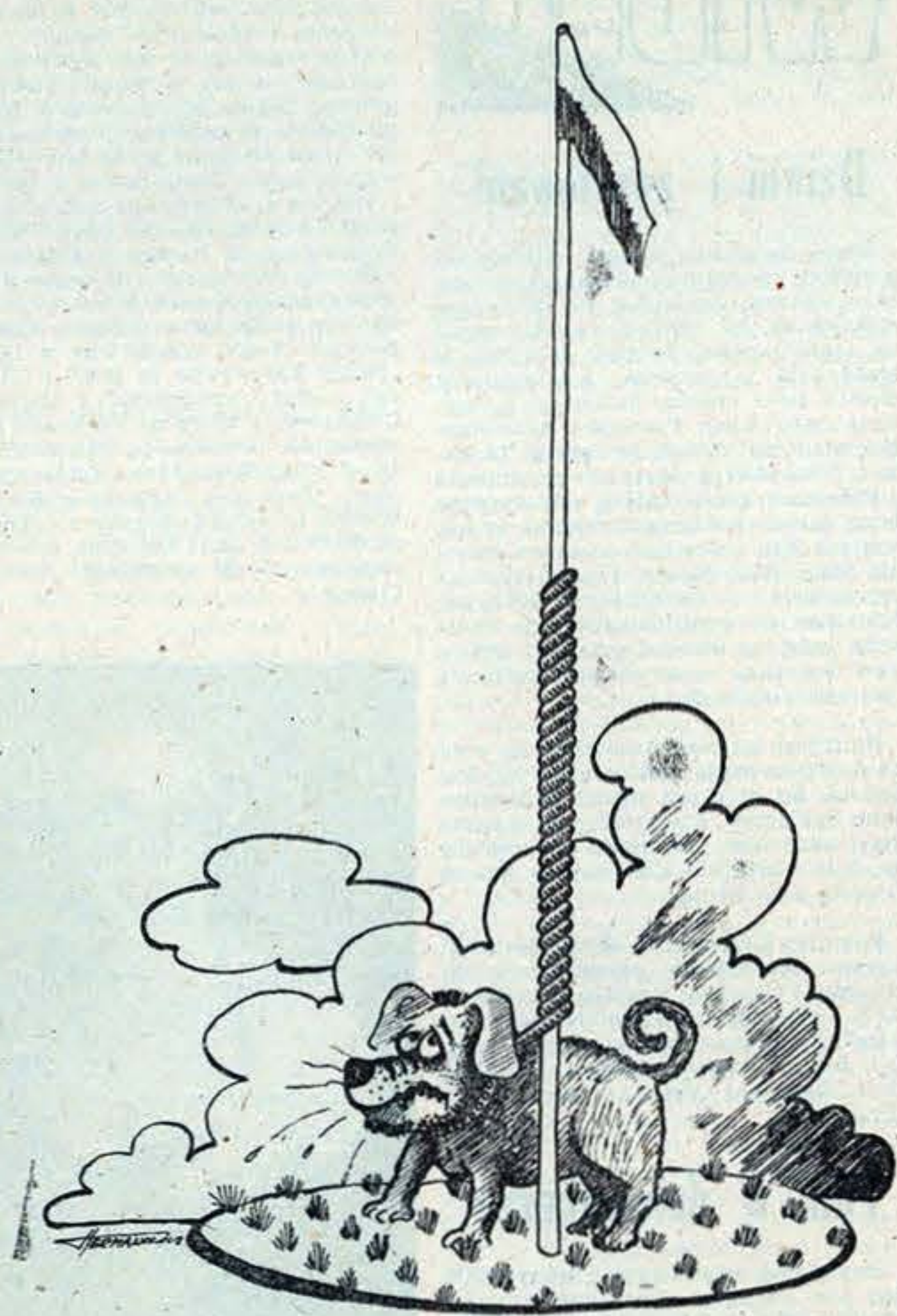
Ponoć Rockefeller zaczynał swoją oszalałą karierą od jednego dolara. U nas można zaczynać od trzech centów, czyli stówki, przed pierwszym pożyczaniem od kolegów. Pan R. nalykawszy się dolarów aż do nieprzyzwoitości, stał się mecenasem sztuki i nauki. Jego fundacja, system stypendialny, ogarnęły świat. Trzeba trzystu lat nieustannej prosperity, wyjątkowego szczęścia, aby zaczynając od trzech centów, zrealizować podobne przedsięwzięcia. Nasi rodzimi kapitaliści in spe, pełni inwencji, siły przebiecia, przepelnieni przedsiębiorczością, mają przed sobą kolosalną perspektywę. Im nie o taką światową perspektywę idzie. Zdolny po eta potwierdza swój niewątpliwie talent werdyktami jury niezliczonych konkursów poetyckich. Jedna lub druga nagroda, w jednym, drugim konkursie może być przypadkiem. Dwadzieścia nagród w dwudziestu różnych konkursach już przypadkiem nie jest. Poeta pisze dobre wiersze. I sytuacja staje się paradoksalna. Ten dobry poeta z Zielonej Góry nie opublikował drukiem ani jednego wiersza. Za wiersz, który jest próbą wprowadzenia ładu w nasz splątany świat, prasa płaci takie honoraria, że można się za nie upić patrząc w lustro. Naszego poetę takie honorarium nie padnie. Debiut książkowy, tomik w państwowy jeszcze socjalistycznym wydawnictwie, to kilka lat wyczekiwania i duże szczęście do wydawcy, który ry-

zykuje dziś minimum jeden milion złotych na techniczną realizację sześciuset egzemplarzy książki. Co podnieca naszego utalentowanego poetę? Znalazł ową stówkę. Śmiałym krokiem wkroczył na drogę biznesu, który póki co, wyczerpując całą energię na uruchamianie, ponosi same straty. Ale przed nim nadziei złote malowidła. Tak nawiasem, Mickiewicz, profesor wyższej uczelni w Paryżu, piszący i publikujący wiele, znalazł się w finansowym zaułku. Został z niego wyprowadzony przez bogatą rosyjską kolonię. Zebrano do kapelusza taką sumę rubli, że w przeliczeniu, można by za nią uruchomić kilka sporych firm polonijnych. Inny współczesny nam, już licencjonowany pisarz, więc autor książek, poszedł do brzo wytężoną trasą — zajął kiosk warzywny. Obracał się w klercie. Kartofle. Pieczarki. Kapusta. Salata. Ma tyle trosk, że nie ma czasu na poważne myślenie o własnym piśmarstwie. Stoi przed wyborem rybki albo pipki. Rybka to buty dla dziecka. Szansa na nowy kioskop do telewizora. Zakup kilku książek w miesiącu. Prenumerata czasopism. Urlop nad jezioro. Realizacja tych bardzo przeciętnych, wręcz elementarnych potrzeb jest uwarunkowana rezygnacją z pracy piórem. To narzędzie, przez czas dłuższy nie używane po prostu rdzewieje. Przedsiębiorczość — słomka, której chwytają się tonący w kłopotach materialnych twórcy, skądinąd pożyteczna społecznie cecha charakteru, dla kultury narodowej okazać się może śmiertelnym niebezpieczeństwem. Ta przedsiębiorczość, choć minister Kra wczuk jest niespotykanym optymistą, już teraz wychodzi nam, widzom w teatrach i kinach gardłem, nam bywałcom wernisaży, zbieraczom książek, miłośnikom muzyki. — Panowie! Jedna płyta compactowa kosztuje 42 tysiące złotych. Aparatura wideo wyprodukowana przez Zakłady „Kasprzaka” 899 tysięcy złotych!

Przedsiębiorczość realizowana przez twórców, robienie tego na czym się oni znają, też może się skończyć fatalnie. Nie każdy Balzac spotka swoją panią Hańską.

RYSZARD ROWIŃSKI

LESZEK HERMANOWICZ



okoliccał

DLUGIE WŁOSY

1. Stałem ostatnio w kolejce po wódkę w zielonogórskich „Delikatessach” (pojawili się bowiem plotki o rychłej podwyżce), kiedy spotkałem znajomego. Zapytał, co ma zrobić, aby tu, w Polsce, zostać wielkim człowiekiem, człowiekiem na miarę końca wieku XX, i nie być zmuszonym do wyjazdu do Niemiec Zachodnich, by przyjąć tamtejsze obywatelstwo. Rzecz alarmująca, ale właśnie taką drogę, niestety wybiera coraz więcej młodych Polaków. Znamy jednak odczynny opuszczać nie pragnie. — Wiem tylko jedno, że padną, ale zostaną! — posłużył się słowami pewnego elektryka z Gdańska. Doradziłem mu przeto, aby po prostu... ośmiał. Człowiek z ubitym włosom na głowie jest o wiele szybciej dostrzegany przez dyspozycyjne komórki kadrowe. W erze późnego Gierka nie od parady było przecieć hasło: „Im mniej włosów na głowie, tym więcej rozumu”. Pamiętam te wspólnie spędzone, kiedy dyrektor ogólniaka dzień w dzień stał przy wejściu do budynku i sprawdzał długość włosów wśród uczniów. Miałem wówczas włosy najdłuższe, stał też specjalnie na mnie czekano. Dyro dawał mi ze swojej prywatnej kieszeni pięć złotych, bo tyle wtenczas strzyżenie kosztowało. Jeżeli już udało mi się ująć uwagę, to następna przeszkoda, niestety, była nie do pokonania. Przeszkoda ową był nauczyciel języka rosyjskiego, obecnie lektor uniwersytecki. Łapał mnie za kudy i won do fryzjera! Tak oto w jednym roku miałem poprawkę z j. rosyjskiego. I o mały włos, a stołoby się na dno.

2. Włosów i tak nie obciałem. Późny Gierek oznaczał się również postępującą liberalizacją, przybawało więc długowłosych, przybawało też coraz więcej znamion postępującego kryzysu. Przez radio, TV i prasę przelewała się ogólnopolska dyskusja, z której wynikało, że w Polsce autorytet może mieć tylko ktoś krótko ostrzyżony i bez wąsów! Ktoś trafnie przypuszczał, iż za niespełna dwa lata jeden taki wąs narobi sporo zamieszania w narodzie. Owe wnioski z dyskusji były raczej niezgodne z narodową historią. Bawiem wysoko podgoloną łeb był charakterystyczny dla Polski saskiej, zacofanej, dogorywającej, upadającej. I gdyby dzisiaj, na zasadzie odwrotności, w tej naszej rzeczywistości, która coraz bardziej ciąży w stronę paradoksu i paranoi, długość włosów miałaby być cechą charakterystyczną dla Polski nowoczesnej i światłej, swe długie włosy jeszcze przedłużałbym, nawet do kostek. Cóż, kiedy tu i ówdzie wola ciągle półłysych albo łysych całkowicie.

3. Nasza polityka kadrowa, owa osławiona kolorowa karuzela stanowiąc, naleciałość czasów dyktatury proletariatu i stalinizmu, zamiast dogorywać, nadal żyje życiem bujnym. „Nareszcie — donosi trium-

falnie pewien redaktor —, brakuja tych, którzy przywłaszczili sobie patent na mądrość. Dziś mądrzy jesteśmy wszyscy, z wyjątkiem hamulcowych ale oni coraz mniej się liczą”. Trudno jest mi w to uwierzyć. Jeżeli rzeczywistość ci hamulcowi nie liczą się, czyż trzeba dziś uporczywie domagać się zmian kadrowych i wyrugowania także kręcące się karuzeli stano wisk? „Nadszedł bowiem ostateczny czas, aby pozbyć się tych, którzy kompromitują rząd i partię swoimi postawami moralnymi i zawodowymi” — i w tym miejscu jestem zgodny z redaktorem.

4. Czy zauważyliście, że słowo „odnowa” wyszło prawie z użycia? Były przecież i takie czasy, kiedy niektórym osobom „odnowa” syłała się z pyska jak z worka siewka. Co kłapani językiem, to „odnowa i odnowa”, ale od pewnego czasu „odnowa” wyszła z użycia, z czego nie wynika, rzecz jasna, żeśmy odnowę przeprowadzili. Z pewnością nie na prowincji! Chociaż z tego wszystkiego co drugi już ośmiał. Powiem otwarcie, mało co obchodzi mnie, że w Warszawie jest rewolucja kadrowa, jeden po drugim zmienia się minister, jakiś dyrektor departamentu, jakiś referent ministerialny, i jest już o wiele lepiej, ale konkretnie mnie obchodzi, dlaczego nadal ten i ów we władzach wojewódzkich i gminnych jest tym nadal, o którym nawet ułca wie, że swoją działkę rządzenia rozłożył na dwie równe łopatki, że jego predyspozycje i wiedza, w końcu postawa moralna jest wprost nie do przyjęcia dla zdrowego moralnie społeczeństwa. Nie wierzę w żadną odnowę, jeżeli na moim terenie, na którym pragnę uczciwie żyć i pracować, pan X, Y, Z będą ciągle nie do zastąpienia ludźmi, którzy hamulcowymi nie będą i wywodzić się nie będą li tylko z tzw. zaplecza kadrowego. Dotrze i do mnie nadzieja wówczas, kiedy tu, na prowincji, dokonają się wielkie przemebrowanie struktur kadrowych. W chwili obecnej ciągle się mówi u nas o nadziei, a to znaczy, iż wiele spraw przedstawia się beznadziejnie.

5. Prawda przecież jest taka, że większość instytucji i systemów przez nie utworzonych na prowincji działa na niby. Niby w Zielonej Górze mamy komunikację, handel, urzędy państwowe, usługi, ba instytucje kulturalne, ale dopóki człowiek akurat długotrwale nie czeka na przystanku na „zerówkę”, dopóki nie zechce kupić sobie odrobiny świeżych wędlin czy żółtego sera, dopóki nie będzie zmuszony do załatwienia najprostszej sprawy w urzędach, dopóki nie przyjdzie mu ochota na uczestnictwo w imprezach kulturalnych — niby wszystko jest piękne. A rzeczywistość jest taka, jaka jest. Żadne mydlenie oczu nie pomoże.

ZBIGNIEW M. JELINEK

McRGINAKI

EKSPERT. Znany reżyser Andrzej Waj da podczas pobytu w Moskwie udzielił rozlicznych wywiadów, kreując się na znawcę wszystkich dziedzin naszego życia. Jak wynika z relacji „Pytania do Andrzeja Wajdy” („Tygodnik Powszechny” nr 2), reżyser oświadczył m.in.: „Aparat, z obawy przed utratą władzy, obrócił się przeciwko wszystkim, którzy mają inicjatywę”. Zdumiewające, jak w okresie ustaw o przedsiębiorczości i gwałtownych przemianach można zapasnąć na tak ostre dantonizm.

IM CHCE SIĘ HANDLOWAĆ! Wśród dalszych laureatów Konkursu Rzeckiego tygodnik „Veto” wymienia także sprzedawców z województw gorzowskiego i zielonogórskiego, pracujących w wojewódzkich przedsiębiorstwach hurtu spożywczego. W Gorzowskim na grody za sprawność i operatywność oraz troskę o dobre zaopatrzenie sklepów otrzymali: Grzegorz Wolek — kierownik sklepu przy ul. 9 Maja w Gorzowie, Halina Kalitka — kierowniczka sklepu przy ul. XV-lecia PRL w Kostrzynie oraz Krystyna Jurewicz — kierowniczka sklepu przy ul. Kosznie-rów Gdynskich w Gorzowie. Natomiast oddział wojewódzki PHS w Zielonej Górze ufundował tylko dwie nagrody: Wanda Tomczak ze sklepu przy ul. XX-lecia w Lubsku otrzymała nagrodę I stopnia, natomiast nagrodę II stopnia przyznano Wandzie Pacześnej ze sklepu przy ul. Warszawskiej w Zaganianu. Gra tulujemy! Oby takich handlowców było jak najwięcej. Czego życzymy również mieszkańcom Zielonej Góry...

DO REANIMACJI? W „Przeglądzie Katolickim” (nr 1) notka recenzyjna z „Rzeczy najmniejszych” Stefana Kisielewskiego. Autor (jg) tak oto zaczyna: „Gdy w powieści kryminalnej pada trup, zawsze ktoś wola — lekarza!”. Na tej samej zasadzie, gdy ukazuje się książka, wzywa się krytyka! Do reanimacji w takich przypadkach już za późno, więc po co ten lekarz i ten krytyk?

PLAGIAT? W 1975 roku Izabela Komus opublikowała nakładem Wydawnictwa Poznańskiego tom opowiadań „Siódmy kontynent”. W 1988 roku Mieczysław Czuma wydał w rzeszowskiej Krajowej Agencji Wydawniczej książkę pt. „Siódmy kontynent”. Tytuły

złożone z dwóch i więcej wyrazów były chronione prawem. I nadal są. Wieg — mamy plagiat?

RYNDAK W „LEWYM MARGINESIE”. Jak informuje „Przegląd Tygodniowy” (nr 4) w swej rubryce „Lewy margines” — „Felietaonista „Gazety Lubuskiej”, Zbigniew Ryndak, uważnie przestudiował komunikat PAP o zniesieniu asygna na samochody. Podliczył na kalkulatorze tymienione grupy zawodowe, które korzystały z tego przywileju — i do całosci zabrakło mu 14 proc. Może ta reszta to nie tyle zawod, co jakaś służba specjalna albo charakter? Charakter, z pewnością. Znamy przecież osobliwie felietaonistę Ryndaka.

KOMU NIE PODOBA SIĘ IRENA DZIEDZIC. Interesująca ankieta telewizyjna Ireny Dziedzic nie wszystkim przypadła do gustu. Do grona prześmiewców wpięrow zaliczył się felietaonista Ryndak, później dołączył tygodnik „Kierunki”. W numerze 4 Bogdan Miś słusznie konstatuje: „Minał miły czas świat, czas zyciowości”. Wieg — huzia na panią Irenę! „...z ociąganiem należy odnotować prawie codzienną „Ankieta Ireny Dziedzic”. Pominiemy pokusę ocen wypowiedzi jej rozmówców, ale czy nie można było tych pytań stawiać mniej teatralnie, zwyczajnie, doręczniej, bez wyrazistego efekciarstwa stylistycznego?” — pyta ZET — EL w TELE — notach, mitach, kłopotach. Na drugiej stronie tego samego numeru cytuję z wypowiedzi Ireny Dziedzic z redakcyjnym komentarzem: „Oglądając mnie ci, którzy tego chcą, ci, którzy wybierają między mną a Smurphy’ami czy pszczołką Mają. No cóż, smurfy są mniej pretensjonalne”. Pani Ireno! — tak trzymać. Nam się podoba pani wdzięk i prostota, innym marzy się być może — mowa trawa.

JESZCZE O SZKOŁCE BEREZY. Autor teorii rewolucji artystycznej w prozie, krytyk Henryk Bereza ciągle wzbudza różne emocje. Bogdan Ryba, omawiając książkę Leszka Bugajskiego „Strategia ślimaka” („Nowe Książki” nr 11 z ub. roku) słusznie zauważa: „Nie można jednego nurtu, który na do datek jest mało uchwytyny, i przejrzysty, uznać za jedynie słuszny. Okopy świętej Trójcy przemierzają się z biegiem czasu niezależnie od przyjętych wcześniej założeń i późniejszych protestów. Toczy się z nimi życie literackie znacząco nie pełniejsze, tworzone nie tylko przez obrońców oddalających się własnej młodości, ale przez ludzi o różnym wieku i doświadczeniu”. Autor kończy swoje słuszne refleksje uwagą: „Także główni

weryfikatorzy piśmarstwa, czytelnicy, nie chcą jakoś zrezygnować z „tradycyjnej literatury”. Otoż to!

PUNKT NA MEDAL! Pod takim tytułem tygodnik „Veto” (nr 4) publikuje list mieszkanki Świątobliwej Lont: „Mamy w Świątobli nad Odrą punkt skupu opakowań szklanych, który podlega PSS „Spolem”. Piszę o nim dlatego, że jest prowadzony uxorowo, na piątkę z plusem! Kieruje nim pani Zofia Dobrowolska, która dba nie tylko o sprawność obsługi, ale i o estetykę wnętrza. W oknach wiszą firanki, na parapetach stoją ładne rośliny doniczkowe. Jest tam ład i porządek. Chciałabym jeszcze dodać, że punkt ten zawsze jest czynny w wyznaczonych godzinach. Śmiem twierdzić, że z naszego punktu skupu niejedna taka placówka mogłaby brać przykład”. Jeśli jeszcze jest w tym punkcie zawsze papier toaletowy, to po udzielaniu pozytywnej opinii autorki li stu.

W STRONĘ LEWICY. W artykule pt. „Wątpliwości przed startem” Aleksander J. Wierczkowski („Tygodnik kulturalny” nr 4) snuje refleksje o aktualnym samie państwa. Przy końcu znajduje pasus przytomny: „Idąc się przyszłości, w której wozicie bęga głowę nie czucie Piłsudskiego czy Umowskiego (choć tych ostatnich bałbym się znacznie bardziej), pomny tradycji kasetów i laszek z zyletkami), a zawiorki by następowały Stanisława i Marii Ossowski, Kotarbińskiego, Tatarakiewicza, ale również Witosa, Łuzaka, Barlickiego, Limanowskiego czy Daszyńskiego. Nie nęci mnie przyszłość, w której obce będą tradycje zarówno harcerstwa, jak i „Wici”, Kas Stefczyka i WSM.

W ogóle nie czuję się dobrze w świecie, w którym zwroty w prawo lub lewo, baczność czy spocznij — odbijają się na komendę. A nawet, gdy komenda brzmi: „do dobrobytu — biegiem naprzód!”. Wtedy i nas ogarnia niepokój...!

POROZUMIENIE WEDŁUG Ewy SZUMANSKIEJ. Autorka miniatur literackich — felietaonowo — publicystycznych, czyli Ewa Szumanska z „Tygodnika Powszechnego”, w 4-nrzie pisma pisze o możliwościach narodowego porozumienia, stwierdzając co następuje: „Jedną tylko nie może być w porozumieniu: zamazywanie i zapomniania. Trzeba pamiętać wszystkie twarze, postawy, postępy, kim kto był, kim kto jest. Wszędzie bez wyjątku wydarzenia, niesprawiedliwości, zniszczenia i klamstwa.” A powiedziano: miłujcie waszych nieprzyjaciół!...